

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 28 lipca 1946 r.



CIV 5013 Nr. 29 (35)

Antoni Nawka

WOLNOŚĆ ŁUŻYCOM

W końcu ubiegłego miesiąca, na zaproszenie Zarządu Klubu Literackiego w Katowicach, Antoni Nawka, syn ziemi łużyckiej, bawiący z wizytą w Polsce, wygłosił odczyt o Łużycach.

Niżej zamieszczony artykuł jest skrótem tego odczytu. Zpełne celowo zachowaną tu została nerwowość prelekcji: mówca ma, niestety, powody do tego, by słowa jego rwały się w żalu rozczarowań.

Krótki rys historyczny Łużyc i rozgorczenie, że wbrew oczekiwaniom i ta wojna, prowadzona ponoć w imię wolności narodów, nie zakończyła jeszcze tragedii biednego narodu, zmusza do refleksji.

Przed oczyma wyrastają postacie rycerzy łużyckich, którzy z tą pieśnią na ustach straż wojskową tu pełnili, jako członkowie hufców Chrobrego. Z twarzy zjawia białe dumy. Mężny król, ich „kral“, mile raczył ich przyjmować, pochlebnie zawsze o nich się wyrażał, odznaczaniem zaszczycał...

Rozpiewała się Szprewa dziejami tej

ziemi:
17 czerwca 1025 roku umarł Chrobry. Dzień ten, to dzień wielkiej żałoby — od niego bowiem datuje się moja i Łużyc niewola, trwająca, Boże Sprawiedliwy, po dzień dzisiejszy.

Po tej śmierci rozszalała się niemiecka nienawiść. W wodzie mej dużo było krwi czerwonej, jak maki. W zaroślach nadbrzeżnych ścisłym głosem nuciła pieśń żałoby sieroty, wdowy... śpiewy — psalmy, śpiewy — ballady, rozpacz pełne.

Trzysta lat, dzień w dzień niemal, łużycka krew płynęła na moich falach. XIV wiek przyniósł ulgę. Uderzyły w niebo płomieniami ognia radości w górach, wzniecone na wiadomość, że król czeski we władanie ziemi naszą objął. Jakoś mniej było łez, zamilkły psalmy, rozbił się śmiech... Choć może po cichu narzyłam sobie o

czym innym, cieszyłam się tym, co było. Duma mię rozpierała, gdy dotarli tu wieści, że synowie mej ziemi zbierają laury cenionych uczonych w Poznaniu, we Wrocławiu, w Pradze.

Kapał się przecie w moich falach Jan Rak, a oto nagle blaskiem poety zajaśniał w Rzymie, w Paryżu.

W tym to czasie za moją namową dokonano przekładu Pisma Świętego na język łużycki.

Ale cóż... radość trwała krótko.

Rozpętała się straszna wojna, co lat trzydzięci trwać miała. Uciekło ledwie rozbudzone życie łużyckie. Szczęk broni, ryk żołdactwa obcego echem błędził od skały do skały. Pytałam wówczas przelatujące a wystraszone ptactwo, jakie losy wojny? Ilu Łużyczan cało wyszło z tej rzezi? Milczały, by mnie nie martwić. W końcu dały się ubłagać: wsie puste, gospodarstwa spalone, pola leżą odłogiem, resztki ludzi kryją się po lasach, głodując, marznąc...

Zywość mego narodu jest wielka. Te drobne resztki żwawo zabierały się do odbudowy. Nie było łatwo. Czesi wojnę przegrali — wrócił król pruski, okrutnik, morderca. Zaczęła się germanizacja. Nie

wolno było legalnie nowych rodzin łużyckich zakładać. Wiecie czym to groziło? Zdawało się, że nie ma ratunku.

Król pruski — „kral paduch“, co znaczy: król złodziej. Złodziej, bo ukradł dzieciom moim wszystko: wolność, miłość, własność. Może tu, koło Budziszyna, elektor saski był bardziej człowiekiem, ale gdzieindziej...

Tutaj też, dzięki lepszym warunkom, znowu zaczęło się życie. Wrócili synowie, chowani w Pradze, wrócili pełni sił do pracy dla narodu.

Fritz podjął nową wojnę, siedmioletnią tym razem. Dziesięć kilometrów stąd, pod Buhecami, bitwa okrutna. Wiecie kto z kim się bił? Po jednej stronie Czesi i Słowacy, Chorwaci i Słowenci pod rozkazami austriackiego cesarza — po drugiej... Polacy i Łużycanie pod władzą krzyżactwa...

Jaśniejsze chwile, to tylko wizyty miłych ludzi. Był tu przecież hr. Jan Potocki, był czeski sławista, Józef Dobrowsky, zaglądał Jan Dejka...

Później przyslił napoleoński żołnierz: dni niepewności i Kongres Wiedeński. Przeszliśmy pod berło znienawidzonego Prusaka.

Naród mój twardy jest i nieugięty. Właśnie w Łużycach Górnych, właśnie w części kraju najbardziej gnębionej, puszcząc pędy poczęło drzewo odrodzenia. Tam bowiem stała kołyska pierwszego wielkiego poety Łużyc, H. Zejlera, stamtąd pochodzą: Jan Ernest Smoler, organizator ruchu narodowego, K. A. Kocor, pierwszy łużycki kompozytor. Zejler pisał bajki o lepszym jutrze, zdobył ją melodią Kocor, a Smoler z tym bukietem w ręku ruszył na podbój własnego narodu. Krok pierwszy do zwycięstwa, rok 1847, założenie naczelnej organizacji dla krzewienia nauki i kultury łużyckiej — „Macierzy Serbskiej“. Lżej mi było. Być świadkiem duchowego zmartwychwstania, to radość olbrzymia. Też uciechy miałam, gdy studenci założyli związek „Hłownu Skhadzowanku“.

Widziałam, jak modlił się, spacerując nad moim brzegiem, Michał Hornik. Ludziłam się, że to stąpa przysły biskup Łużyc...

Czasem przychodził nie sam. Wśród gości rozpoznawałam W. Bogusławskiego, historyka, A. Parczewskiego, który stał o pomocy dla łużyckich studentów mówią.

Spacerował sobie tu, w mój nurt często spojierając, J. B. Cisinski. Wyczulałam, że wielkim zostanie poetą. Życzyłam mu tego z wdzięcznością, że czule do mnie przemawiał słowami: „macierka Sprewa“ Z jego ust słyszałam Mickiewicza, Słowackiego. To on odurzył mnie recytacjami Wyspiańskiego.

Mikiawski Andrzejki, J. Winger tu tłumaczyli na serbski Sienkiewicza. Poznałam treść waszej Trylogii, Krzyżaków...

Błąkał się tu w poszukiwaniu materiałów do słownika Ernest Muka.

W takiej atmosferze przyszła pierwsza wojna światowa. Osłabiona, ale nie złamana doszczętnie, pięść germańska dławieć poczęła, gdy wojna się skończyła, tak pięknie rozwijający się ruch wolnościowy.

Patriota gorący, ten, który odważył się — bez rezultatu niestety — głos zabrać w Paryżu w sprawie wolności Łużyc, Ernest Bart, znalazł się w twierdzy.

Łużycanie jednak, mimo klęski dyplomatycznej nie dali za wygraną. Z większym jeszcze zapalem podjęli pracę. Wydawali dziennik „Serbske Nowiny“, drukowali czasopisma, książki, zabójczy „Sokol“, związki studentów, młodzieży, śpiewaków, w „Serbskim Domu“ wrzało życie. I nadal wyjeżdżali za granicę, do braci, by zaczerpnąć ducha słowiańskiego, by

Na Wybrzeżu nie tylko się szabruje...

Na Wybrzeżu nie tylko się szabruje...

Na marginesie

W OCZEKIWANIU

NASTAŁ sezon wyraźnie ogórkowy. Życmy tylko oczekiwaniami. Najbliższe sensacje, to Konferencja Paryska i nowa bomba atomowa. Pierwsza ma przynieść wreszcie ostateczne zafiksowanie pokoju światowego. Druga — ma pokazać, że nowa wojna byłaby eksperymentem zabójczym dla ludzkości.

OTWARCIE MOSTU PONIATOWSKIEGO

W DNIU święta 22 lipca został otwarty odbudowany most Poniatowski⁰. Nie jest to małe zdarzenie w życiu stolicy. Dotychczas — mimo wciąż usprawniającej się komunikacji — życie w Warszawie jest prawdziwą makabrą. Odległości zabierają ludziom czas i zdrowie, co w połączeniu z prymitywizmem mieszkaniowym (niestety, Warszawa ma BOS i ruiny, w odróżnieniu od Poznania, który nie ma BOS'u — i już jest prawie odbudowany) stwarza atmosferę mocno nieodpowiednią dla pracy. Most, łączący Warszawę z Pragą, powinien nieco polepszyć sytuację.

EXPOSE O. LANGE

Na drugim z kolei five o'clock'u inteligencji warszawskiej u P. Premiera, ambasador R. P. w Stanach Zjednoczonych Oskar Lange wygłosił krótkie przemówienie, mające na celu zobrazowanie charakteru prac delegacji polskiej na Radzie Bezpieczeństwa ONZ. P. Lange stwierdził, że zadaniem delegacji polskiej jest przeciwstawienie się powstawaniu na terenie Rady bloków państw i dążenie do tego, aby sprawy poszczególne nie były motywem działalności zbiorowej jednej grupy narodów przeciwko innej. Dążąc do „indywiduowania“ stanowisk poszczególnych członków Rady, delegacja polska, gdy jednak musi zająć miejsce w bloku, zajmuje je o bok ZSSR — bo tak wynika z jej geopolitycznego położenia. W czasie dyskusji na pytanie p. Stefana Barczewskiego, czy należy oczekiwać pomocy materialnej dla Polski ze strony USA, p. Lange odpowiedział, że zagadnienie to uważa za uzależnione od politycznej postawy St. Zjednoczonych.

PRZEMÓWIENIE BENESZA

PREZYDENT Benesz w oświadczeniu na temat polityki zagranicznej Czechosłowacji stwierdził, że nie wierzy w możliwość konfliktu między Wschodem i Zachodem. Gdyby jednak taki konflikt powstał, Czechosłowacja stanie po stronie Związku Radzieckiego.

DEMOKRACJA NASZYCH CZASÓW

STATNI „Głos Katolicki“ przynosi przemówienie ks. kardynała Westminsteru na temat demokracji. Kardynał powiedział m. in.: „Nazwano nasz wiek wiekiem zwykłego człowieka. Ale jeśli mamy zachować przyzwoitość życia — wiek ten musi się stać wiekiem n i e - z w y k l e g o człowieka. Trzeba uratować świat dla Chrystusa, a Chrystus nie był zwykłym człowiekiem. Trzeba i nam stać się ludźmi niezwykłymi, jeśli mamy być chrześcijanami w prawdzie i w czynie. Nie chcę być prorokiem, ale narzucają nam walkę materializmu z chrześcijaństwem. My Anglicy i Amerykanie nie bądźmy hipokrytami. Nie wolno nam udawać, że jako narody świecimy przykładem chrześcijańskiego życia“.

CO SIĘ DZIEJE NAD MORZEM?

NIEDOBRZE jest, jeśli komuś nasze Pomorzanie kojarzy się jedynie z rybami i szabrem. Na Wybrzeżu można bowiem robić także inne rzeczy, a mianowicie można się na przykład solidnie kształcić. O gdańskiej Politechnice wielu coś nie coś słyszało, gorzej z Akademią Lekarską we Wrzeszczu — o niej mało kto wie. A już o Wyższej Szkole Handlu Morskiego i Wyższej Szkole Sztuk Pięknych szeroka publika nie ma zazwyczaj zielonego pojęcia. A szkoda — bo wszystkie te cztery uczelnie mają poziom, jak na dzisiejsze warunki, bardzo wysoki, a same warunki studiów — dużo lepsze niż np. w stolicy. Bo czyż duszący się w przepelnionym Domu Akademickim student warszawski może sobie wymarzyć posiadanie osobnego studentckiego mieszkania, wyposażonego nawet w fabrykę lodów? A takie właśnie miasteczko studenckie powstaje w tej chwili w Srebrzysku koło Oliwy!

Na Wybrzeżu nie tylko się szabruje...

KRÓTKA PODRÓŻ

To tak blisko, Droga przez Wrocław, Lignicę jedziemy w kierunku Zgorzelca. Lignica... Bolesławice... jeszcze kilka kroków... Jesteśmy na terenie dawnego margrabiostwa Łużyc, które niegdyś obejmowało ziemię na północ od gór jizerskich, między rzekami Kwizdą, Dobrem, Odrą na wschodzie, linią, biegnącą mniej więcej o 20 do 30 km ledwie, na zachodzie. Granica od północy to Szprewa.

Wędrowka nasza ku Nibelie odbywa się już po części ziemi Łużyckiej, włączonej do Polski. Do właściwego celu podróży jeszcze trochę trudu. Chcemy dotrzeć do tego dziwnego zakątka, który — mimo zwycięskiego dla sprawiedliwych zakończenia wojny, ciągle jeszcze, tak jak całe ostatnie dziesięć wieków, tkwi w mrokach najstraszliwszej, bo germańskiej niewoli.

Dobrześliśmy do Zgorzelca. Kilkadziesiąt kilometrów na zachód, za miastem Lubinem, jesteśmy u kresu wędrowki.

Mijamy ładnie rozbudowane wioski, ledwie gdzieś tam działaniami wojennymi uszkodzone, dostrzegamy starannie uprawione pola. Na południu wyrastają przed oczyma stare góry: Cornybóh, Belybóh, Hromadnik.

Przysłuchajmy się brzmieniu nazw tych gór. Gdzie jesteśmy? Według mapy — Niemcy. Czy to możliwe? Czy nie ma w tym jakiejś strasznej, tragicznej pomyłki dziejów, błędu, którego ludzkość z dziwnym uporem nie chce naprawić?

Oto z lasów wynurzają się wieżycy kościołów. Przed nami Budziszyn. Powtórzmy sobie Budziszyn! Blyskawica skojarzeń: to tu w roku 1013 Bolesław Chrobry dyktował cesarzowi Henrykowi warunki pokoju... A ta rzeka u stóp? Szprewa.

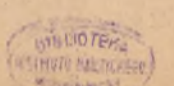
Ona to, od źródeł nad czeską granicą, płynie przez bogate niwy Łużyc Górnych, przez piaski — Środkowych, przez urodzajność — Dolnych i tu nagle, dokumentując przywiązanie, rozgałęzia się w setki drobniutkich odnóg, tworząc na północny zachód od Chociebuża t. zw. Biota, Łużycką Wenecję. Zatrzymała się dłużej, ramionami objęła ziemię umęczoną.

Budziszyn, stolica Łużyc, u stóp Szprewa...

Dochodzi tu jej szum do uszu. Co to? Przysiadamy na chwilę. Szmer wody układa się w słowa, które brzmią dziwnie blisko, serdecznie...

OPCWIADANIE SZPREWY

„Serbja so do Nemcow hołowachu, Słowcka pak nemski sce njemózachu...“



DM 1591 052

szukać pomocy, by głosić prawdę o Łużyczach, o terrorze niemieckim.

Niemcy bacznie śledzili te poczynania. W ich archiwach powstały kartoteki, wypełnione nazwiskami Łużyczan, podejrzanych o „zdradę“. Nikt się tego nie uląkł. Nie ulewały się moje dzieci „nawet Hitlera“. Nasze „nie“ w różnych wypadkach znaczyło tyle, co więzienie, co śmierć, ale to „nie“ było coraz częstsze, coraz silniejsze.

Chciano przenieść nas do Alzacji. „Nie“ w tej sprawie powiedziano, już w czasie drugiej wojny światowej, zdecydowało o powstaniu rozkazu dla Wehrmachtu, broniącego się na Łużyczach, by, cofając się, zniszczyć wszystkich z krwią łużycką w żyłach... Nie starczyło, na szczęście, czasu...

Splonąła tylko łużycka Częstochowa — Rózańt i „Serbski Dom“ w Budziszynie. „Nie czas żałować róż...“ mówiłam sobie za waszym poetą i z rozrzewaniem, z radością witałam wojska słowiańskie, bo z nimi szła moja wolność. Dlaczego nie doszła...

Szprewa umilkła. Nie chcę mówić o rozczarowaniu. Ból rozgoryczenia najsilniejszy jest może ze wszystkich innych.

SPOTKANIE Z DNIEM DZISIEJSZYM

Łużyczanin mówi o tym, co go boli najwięcej.

Już rok cały minął od dnia zwycięstwa. Spodziewaliśmy się, że triumf ten będzie i naszym triumfem, że skończy się niewola. Jesteśmy przecież jednym z narodów zwycięskich. A może ktoś myśli inaczej? Może ktoś powie: byliście żołnierzami „Wehrmachtu“! Tak, to prawda. Łużyczanie nosili mundury niemieckie. Ale czy tylko oni jedni ze słowiańskiej rodziny? Czy nie spotkali się synowie naszej ziemi w oddziałach niemieckich z Polakami, z Czechami, z Jugosłowianami?

Na tę sprawę trzeba spojrzeć pod kątem ustalenia wartości tego żołnierza. Tak, jak inni Słowianie, uchylaliśmy się od tego nieszczęścia wszystkimi możliwymi sposobami. Tak, jak inni, udawaliśmy chorych, tak jak inni przechodziliśmy przy każdej okazji na stronę sprzymierzonych, tak jak inni za ten stosunek do służby w znienawidzonym, hańbiącym mundurze wędrowaliśmy przed sąd wojskowy, na miejsce straceń, bo tak, jak inni, choć w niemieckim stroju — mieliśmy serca słowiańskie, wrocie germańskim rozbójnikom.

W jesieni 1944 r., kiedy w Słowacji wybuchło powstanie, do jednego z oficerów czeskich, dowódcy partyzanckiego oddziału, zgłosiło się kilkudziesięciu dziwnych żołnierzy niemieckich. Cóż to za ludzie? Mundury Wehrmachtu, a mówią jakimś nieznanym językiem. Ni to polski, ni rosyjski, ni czeski — a taki do tych właśnie podobny. Proszą o wcielenie do oddziału. Podają się za Łużyczan, za wrogów niemieczyzny... Grupa zginęła w walce w pień wycięta. Ocalał jedynie ów oficer, wcześniej na inne stanowisko przeniesiony. Ocalał, by świadectwo dać prawdzie. Nie znamy nazwisk bohaterów — wiemy tylko, że byli bohaterami. Cóż tu znaczyć nazwiska...

Łużyczanie nigdy nie wyparli się swego słowiańskiego pochodzenia. To wystarczy, by uznać ich prawo do wolnego bytu. Nie znaczy tu nic wymowa liczb. Ważniejsze są głosy serca. Świat słowiański winien otoczyć wyspę tragicznie zapomnianych swych braci szczególną troską i opieką.

Dzisiaj nienawiść Niemców jadowitsza jest i złośliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Nie jest to już tylko antypatia do świata Słowian. Na szal nienawiści składa się piekielna złość pokonanych i to pokonanych przez Słowian i składa się dalej obłędne, chorobliwe, zaślepienie łaknienie zemsty. Nie mogą wyrzucić jej na tych, co są silni i uzbrojeni, kierują zatrute ostrze na słabych i bezbronnych, na Łużyczan. My, jedyni znosimy w tej chwili skutki ich szatańskich uczuć, przeznaczonych dla całego świata słowiańskiego. My jesteśmy ofiarami zemsty szaleńców. Doprowadzają nas do ruiny gospodarczej, usiłują łamać ducha odporności, oszczerczymi sędziem starają się popsuć nasze stosunki z władzami okupacyjnymi. Próbuja i innych metod. Wyciągają podstępnie „bratnią“ niby dłoń, namawiają do flirtu, ba, obiecują kulturalną autonomię. Ten flirt nie dla nas. Tam, gdzie krew rozdzieliła, gesty nie połączą. Znamy Niemców. Wiemy, czego się po nich można spodziewać. Jeśli w ciągu roku od klęski Niemiec zdobyliśmy cokolwiek, to stało się to nie z ich pomocą, przeciwnie — wszystko musieliśmy wytrwać z ich wrażliwych łap.

WIERSZE ŁUŻYCKIE

Jakub Bart-Ciszinski

Miłość rodzinnego kraju

Choć cały piękny świat jest dziełem Bożym,
To przecież w domu mieszka urok raj.
I w domu ci najpiękniej myśli grają,
Choć i gdzieindziej może nie być gorzej.

O dobrych krajach gwarzą ci przesłodko,
Gdy oczu twych przydługi sen utulą.
Lecz w domu śle głos tęsknota twoja w bólu,
Gdzie pierwsza miłość serce ci oplotła.

Rodzinną ziemią w miłość skwita wszędy!
Chcę na niej trwać, aż póki głowa w szronie,
Gdyż strzegła mnie i grzała na swym łonie.

Gdzie kładła w głąb kołyski mnie matula,
Gdzie w pracy pot po czole mi się kulał,
Najlepiej spać w rodzinnej będę ziemi.

Mowa ojczysta

Jakże cię kocham słodka ojców mowo!
Jam do kolebki brał cię z Bożej ręki;
Do ust mi twe matula kładła dźwięki
Zwyczajnie, gdym u kolan jej się snował.

Więc cały żywot spina mi ta mowa.
Skowronkiem, co do nieba wzlata z łąki,
W niej kąpię lot. I nucę ot jak bąki,
Gdy duszę noc napęlnia, płacząc słowa.

O biada pyszałkowi, co ją gani,
A drgim jej zabrania i odbiera,
A prawo Boskie i natury rani!

On z myśli cześć i odbłask szczęścia zdziera —
Nad nami Bóg, co karze renegatów!
Ojczysta też jest mowa — niebem światu.

Z górno-łużyckiego spolszczył
Aleksander Widera

Mowa ojczysta

Stare, sękatę buczysko
Zdaje się sterczeć bez zysku,
Lecz z jego zmarszczek, lecz z ramion
Zadziwił siły, co łamają.

Bywa, swej mowy ojczystej,
Tej serbskiej, sławnej i czystej
Nie czcisz, a przecie jej słowem
Śpiewasz swe pieśni duchowne.

Mowa ojczysta — od Boga,
By duch nie błądził po drogach.
Wśród obcych wianki z niej splatasz,
W domu nią nieraz pomiatasz.

Z dolno-łużyckiego spolszczył
Aleksander Widera

Komentarz do tezy: Czechosłowacja lub Na miejsce spalonego przez uciekające oddziały ss-owskie „Serbskiego Domu“ urządziliśmy w hotelu w Budziszynie „Domowiny“ — Centralę Naczelnego Związku Serbów Łużyckich. W szeregach tej organizacji skupiamy około 50.000 zarejestrowanych członków. Mimo ograniczeń (wolno zajmować się jedynie sprawami kulturalnymi) związek posiada olbrzymie znaczenie dla życia naszego narodu. Tu przecież kształcą się przyszli przywódcy ludzcy.

Wrogość Niemców do tych poczynania nie ogranicza się do milczącego patrzenia spod ręki — wybucha czasem nawet strzałami. Pod osłoną dymiących łuf ukradli nam tradycyjnie drzewo majowe, t. zw. „meje“.

Cóż, nie odpowiedziliśmy strzałami na głupią zbrodnię. Nie mamy broni i nie stać nas, Łużyczan, na ryzykowanie życia w obronie martwego symbolu. Za mało żywych — każdy potrzebny jest gdzieindziej. Uczuć z serc nie ukradną nawet z bronią w rękę. Uczucia te rozrastają się z dniem każdym. Młodzież broni swych praw do uczuć narodowych. Zorganizowana pod skrzydłami „Domowiny“, akcentuje pragnienie odzyskania wolności. Studenci uniwersytetu praskiego przerwali studia, wrócili do domu, bo tu są bardziej potrzebni, bo tu muszą krzewić świadomość narodową. Starsze pokolenie nie zrzuciło z bark ciężaru obowiązków, dźwiganych od lat. Ciągłe apostołuje jeszcze Ernest Bart i inni.

Zadanie nie jest łatwe.

Do wielu serc zakradło się zwątpienie, rezygnacja: znowu zostawiono nas samych sobie. Z rezygnacją trzeba walczyć. Trze-

ba życie narodu budować wbrew wrogom i nawet wbrew swoim, co osłabi.

W Krościcach wystawa kultury i sztuki łużyckiej cieszy się wielkim powodzeniem. Zwiedzają ją nawet goście z zagranicy.

Na skrzyżowaniach dróg tablice orientacyjne w języku łużyckim.

Duże uroczystości w dniu 1 maja.

Pierwsze miesiące po zakończeniu wojny pełne były najradośniejszych nastrojów. Drżeliśmy ze szczęścia. Czekaliśmy switu, który zorzą poranną zdawał się rumiem niebo na wschodzie. Rzeczywistość okazała się gorsza. Trzeba było zrezygnować z entuzjastycznego krzyku wesela i znaleźć w sobie trzeźwość i realizm w ocenie sytuacji. Rozsądek polityczny dyktował konieczność utworzenia reprezentacji narodu. Tak powstał Łużisko-Serbski Zemski Narodny Wubjerk (Ł. S. Z. N. W.) i Serbska Narodna Rada (S. N. R.). Ruszyli delegaci do Londynu, Paryża, Belgradu, Warszawy — wkrótce nastąpi wyjazd do Moskwy.

Niemcy prowadzą z nami walkę. Przeszkadzają. Mają broń w formie gazet — my dotąd swego pisma nie wydajemy ze względu na brak odpowiednich zezwoleń, mają przyjaciół w angielskich kuzynkach i kuzynach, którym (zwłaszcza dziennikarzom) tłumaczą, że akcje nasze, to zachcianki separatystyczne, z którymi nie należy liczyć się poważnie.

Dla nas te zachcianki, to sprawa życia. Jak się walka zakończy?

ECHA WYCIECZKI

Politycy Łużyc, teza zasadnicza: Nigdy z Niemcami!
Polska!

Rozwinięcie komentarza: Polska, oparta na Odrze i Nisie Łużyckiej, musi dostrzec, że problem Łużyc, to część składowa polskiej racji stanu.

Pytanie pod adresem konferencji pokojowej: Czy to prawda, że druga wojna światowa toczyła się o wolność narodów?

Pytanie ostatnie, natarczywe: Kiedy Łużycanie będą wolnym narodem?

Antoni Nawka

Książka o kolonizacji niemieckiej w Polsce *)

Może nigdy tak nauka niemiecka nie stała na usługach doraźnym celom politycznym, jak w tej wojnie, która się skończyła bezprzykładną klęską Niemiec. Każdy z narodów okupowanych przeżywał nie tylko nędzę i upodlenie natury fizycznej dzięki specyficznemu nastawieniu „narodu panów“, ale także wielkie upodlenie moralne w różnych dziedzinach życia. Dla intelektualisty nie do zniesienia była, między innymi, propaganda, szerzona świadomie przez okupanta o geniuszu organizacyjnym i twórczym narodu niemieckiego na ziemiach polskich. W praktyce sprowadzało się to do tego, że dopatrywano się wszędzie przejawów twórczych niemieckiego ducha w dziedzinie kultury. Nie było bowiem nic wielkiego w szczytowych osiągnięciach naszego narodu i państwa, co nie było stworzone przez niemiecki geniusz na ziemiach polskich. Naturalnie, wszystko to ubierano w dowody „naukowe“ nieraz w tak naiwny sposób, że u bardzo nawet nieświadomionych budziły te dowody „naukowe“ najpierw odrazę a potem wzruszenie i w końcu i usmiech politowania.

Mimo takiej postawy ze strony samych nie trzeba zapominać, że propaganda zbierała swe żniwo mimo wszystko w sposób na razie nie widoczny. I tak np. trąbanie przez propagandę niemiecką sprawy kolonizacji t. zw. niemieckiej na ziemiach polskich wzbudzało pewien niepokój u przeciętnego Polaka. Wiadomo nam bowiem wszystkim było, że kolonisci niemieccy byli w Polsce a kampania wrześniowa 1939 roku nacznie przekonała jaką pomocą byli oni w czasie walk wrześniowych dla armii niemieckiej w zakresie dywersji na tyłach i szpiegostwa, przeprowadzonego na wielką skalę. Z kolonizacją niemiecką bowiem propaganda okupacyjna związała w Polsce mit o budującej roli, jaką Niemcy mieli włożyć w urządzenie „Weichseliandtu“, a podkreślanie stałe w prasie codziennej twórczej roli Niemców w tworzeniu pomników architektury, sztuki i kultury stwarzało nawet u najbardziej uodpornionych Polaków pewien osąd, który nie należał bagatelizować. W godzinowej tej robocie pierwsze skrzypce odgrywał w dziele udowadniania tych „prawd“ naukowych „Deutsche Ostarbeit Institut“ w Krakowie, którego naczelnym zadaniem było wypracowanie pseudonaukowych dowodów o germańskim charakterze i germańskich prawach do ziem, leżących nad Wartą i Wisłą. To też, jak pisze autor w pracy omawianej „niemiecki punkt“ widzenia, szukający wszędzie dla zadowolenia swej pychy śladów krwi niemieckiej i niemieckiej pracy, pomieszał różnorodne pojęcia i opatrzył je fałszywymi nazwami. Zapomniano rozróżnić kolonizację wewnętrzną kraju, zjawisko gospodarcze, od kolonizacji niemieckiej, t. j. imigracji żywołu niemieckiego, pomieszało kolonizację niemiecką na t. zw. prawie niemieckim, która była częścią ogólnej kolonizacji, prowadzonej siłami polskimi, tylko według wzorów niemieckich. Wzory zaś te zbyt pośpiesznie przepisano wyłącznie Niemcom, nie rozróżniając w nich dorobku zachodnio-europejskiego. Wydobyć z tego chaosu błędnych pojęć, te pojęcia oczyścić, uświadomić je następnie, unystawić każdego Polaka — jest właśnie celem niniejszej rozprawy...

„Nadszedł czas, pisze autor, byśmy spojrzeli na nią trzeźwo, odrzucając wszelkie sugestie niemieckie, rozsiadając nawet w poważnej literaturze naukowej jeszcze z XIX wieku. Dokładne zapoznanie się z przebiegiem kolonizacji nie tylko wyswieśli niejasności, ale da nam broń do ręki, którą skutecznie zwalczymy w sobie wszelkie nasze zastarzałe wątpliwości. Przypatrzymy się zjawisku imigracji żywołu niemieckiego na terenie całej Polski i na przestrzeni całych dziejów. Być może, że umożliwi to nam wyciągnięcie pewnych wniosków, będących nie bez znaczenia dla polskości nawet z punktu widzenia dzisiejszego interesu narodowego...“

Przypatrzymy się teraz jak omawia autor te zagadnienia. Rozpoczęta od czasów przedhistorycznych. Stwierdza on, że gdzieś od II okresu brązu możemy śledzić ciągłość rozwoju ludności, która była jedną z gałęzi ludów aryjskich, z

*) Kaczmarek Z.: Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry. Wydawnictwo „Instytutu Zachodniego“. Poznań, 1945. 8-ka, str. 259, cena 150 zł.

której wyszły Słowianie i Bałowie. W V okresie brązu na kulturę łużycką, która jest wykładnikiem owej wspólnoty bałtoślowskiej, wywarli silny wpływ Germanie skandynawscy nad brzegami Bałtyku, t. j. na Pomorzu, dzięki ożywionym stosunkom handlowym i wymianie kulturalnej. Tu też pisze autor, wytworzyła się t. zw. kultura nordyjska, która zatrzymała się terenowo na południe od Noteci. Otóż musimy w tym miejscu skorygować autora. W V okresie brązu nie nordyjskiej, lecz trwała tu t. zw. kaszubska grupa kultury łużyckiej, która była może materialnie bogatsza od grup innych tej kultury, rozpościerających się na ziemiach Polski. Tak samo w wczesnym okresie żelaznym autor popełnia błąd nomenklatury. Nie „kultura grobów skrzynkowych“, ale kultura pomorska. Ten termin jako nie właściwy, już da-

wno został zarzucony przez naukę polską. Nie potrzebnie zalicza też autor do ludów germańskich Silingów w okresie rzymskim. Jak ostatnio wykazała nauka polska, zagadnienie Silingów wiąże się z Śląskiem i nazwą rzeki Ślęza. Przeciwno dotychczasowej tezie nauki niemieckiej o germańskim charakterze Silingów coraz więcej faktów przemawia za tym, że są to słowiańscy Słężanie a potem Słężacy. Są to niedociągnięcia autora, wynikające z braku specjalizacji w zakresie prehistorii i przez niedokładne przestudiowanie odpowiednich ujęć syntetycznych. Zobrazowanie natomiast przez autora przebiegu średniowiecznej kolonizacji niemieckiej na ziemiach polskich jest ujęte poprawnie, choć wyniki te muszą budzić w nas wiele wątpliwości z braku źródeł pisanych, co nie jest winą zresztą autora. Dopiero gruntowne badanie kul-

tury materialnej mogą wyjaśnić wiele wątpliwości, które mimochodem się nasuują z braku źródeł pisanych.

Powyższe uwagi skromne i nie wyczerpujące, nie mają w naszym przekonaniu obniżyć w oczach czytelnika wartości pracy Dr. Kaczmarczyka. Jest ona dodatnim objawem w wydawniczym i autorskim z ostatnich miesięcy. Jak była ona bardzo potrzebna i jaką rolę spełni, nie trudno się domyślać. Ma ta praca jednak trochę niedociągnięć natury ogólnej, jak i samego autora. Być może, że w przyszłym wydaniu te niedociągnięcia zostaną usunięte, mimo, że nie są one wagi podstawowej, ale wynikają ze zbyt-niego generalizowania faktów. Jest ona jedną z prac „Instytutu Zachodniego“ i wyciąga jasną linię generalną tej instytucji.

J. Ant.

Wojciech Kętrzyński

Na marginesie krakowskich dyskusji

Z inicjatywy redakcji „Odrodzenia“ odbyło się w Krakowie dn. 24.VI zebranie dyskusyjne na temat — „Socializm, komunizm i katolicyzm“. W parę dni później, dn. 29 czerwca, na zaproszenie tym razem „Tygodnika Powszechnego“ odbyło się drugie zebranie, kontynuujące w szczególności uprzednio dyskusję.

Sprawozdań na temat powyższej dyskusji ukazało się już parę. Nie zamierzam ich tu powtarzać. Najlepszym i najbardziej obiektywnym był niewątpliwie artykuł Kazimierza Wyki („Odrodzenie“ Nr 27), do którego też odsyłam czytelników, pragnących zaznajomić się z treścią obu dyskusji.

Jest jednak rzeczą konieczną, niezależnie od obowiązku dziennikarskiego sprawozdania, zastanowić się nad celowością tego rodzaju inicjatywy i nad szansami, by takie spotkania dały obu stronom realne korzyści.

Trzeba stwierdzić, iż jest to nie tylko pierwsza dyskusja między przedstawicielami dwóch odrębnych, walczących dziś ze sobą światopoglądów po zakończeniu wojny, lecz bodajże pierwsza dyskusja na dużą skalę w ogóle w Polsce niepodległej.

Były do tej pory sporadyczne inicjatywy, doprowadzające do zetknięcia się na jakimś odcinku działaczy, czy myślicieli obu obozów. Miały miejsce przed wojną (w Wilnie) i w czasie wojny (w Warszawie, na Żaliborzu) dotyczyły światopoglądowe. Sprowadzały się one jednak zawsze do obustronnego badania sytuacji przez daleko wysunięte na przedpole patrol rozpoznawcze.

W stosunku do tych dawniejszych spotkań — dyskusję krakowską można nazwać, jeśli jeszcze nie starciem sił głównych, to w każdym razie zetknięciem się straż przednich obu światopoglądów.

W tym przede wszystkim tkwi wartość pozytywna tych spotkań. Jest zawsze dowodem głębokiej i dodatniej ewolucji, jeśli przeciwnicy pragną i potrafią ze sobą rozmawiać choćby nawet treścią ich rozmów miało być tylko ustalanie różnic. Można stwierdzić, iż wśród zebranych na sali kilkudziesięciu osób byli w minimalnej mniejszości, (albo może ich nie było w ogóle), ci, którzy uważali, że jedynym argumentem pozytywnym może w tej sprawie być gwałt, siła, nóż, czy pistolet, wyrok lub więzienie.

A nie tak bardzo dawno temu po obu stronach pogląd ten byłby w większości. Jeśli obie strony, zabierając się do dyskusji, wykazały maksimum dobrej woli i chęci pozytywnego przedstawienia swych zapatrywań, to jednak z drugiej strony trzeba też stwierdzić, iż dyskusja okazała, jak mało obie strony wiedzą o sobie na wzajem. Trzeba tu jednak obiektywnie przyznać, że zebrani przedstawiciele środowisk katolickich wykazali bezwzględnie więcej znajomości poglądów swych przeciwników. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że marksizm, w odczuciu jego klasycznych myślicieli i w ich dziełach nie był obcy znacznej większości dyskutujących katolików, podczas gdy podstawy światopoglądu chrześcijańskiego i nauka Kościoła Katolickiego znana była marksistom tylko w najogólniejszych formach.

Tu też od razu wyłoniły się pierwsze trudności. Katolicy skłonni byli uważać marksizm za zwarta doktrynę ideologiczną, dochodzącą chwilami do cech socjologicznych religii. Zaprzeczają temu żywo marksiści, stwierdzając, że dla nich „marksizm jest nadbudową myślową, konsekwentnie rozwijaną nad faktami“, czyli, przekładając na codzienny język, jest tylko metodą klasyfikowania faktów. Istnieje zaś niewątpliwie olbrzymia różnica pomiędzy metodą socjologiczną, a totalną i konsekwentną doktryną światopoglądową, regulującą wszelkie myśli i czyny ludzkie.

Jeszcze większe nieporozumienia kryją się jednak przy ocenie katolicyzmu ze strony marksistów. W ich terminologii nie

mieści się właściwie nasze pojęcie religii. To też, rozmawiając z katolikiem, pragnęliby mieć przed sobą albo filozofa, z którym można się spierać o realizm, idealizm, metafizykę, lub też polityka, z którym konkretnie można mówić o obliczeniu sił, wspólnych czy rozbieżnych interesach, o ustępstwach czy o kompromisach. Sądzę, że wiele jeszcze trzeba będzie dysput, by zrozumieli istotę religii i fakt, iż mają przed sobą przede wszystkim członków wielkiej fizycznej i duchowej społeczności, wyznawców Chrystusa a następnie dopiero filozofów, działaczy, czy polityków. Stąd też błędne pojęcia, jak neokatolicyzm, katolicyzm polski, katolicyzm postępowy, czy konserwatywny. Stąd stałe nieporozumienia pomiędzy oceną katolicyzmu a oceną katolików polskich w danej chwili, oceną duchowieństwa, oceną historii Kościoła i t. d.

Te wszystkie rozmiarania się i niedomówienia powodują, że wartość obiektywna tych dyskusji będzie jeszcze przez bardzo długi przeciąg czasu mierna, aż praktyka, wspomagana przez osiągnięcia naukowe, pozwoli obu stronom stworzyć pojęcia na wzajem zrozumiałe. Nie przesądza to w niczym wartości subiektywnej spotkań intelektualnych, zachęcających do wzajemnego poznawania się, rozkładających kompleksy, niszczących uprzedzenia i nienawiści.

KATOLICKI — TO ZNACZY PWSZECHNY

Największą trudność do pokonania w dyskusji pomiędzy katolikami i ich przeciwnikami leży w trudności zrozumienia uniwersalistycznego charakteru katolicyzmu. Kościół Katolicki oparł swą strukturę na zasadzie pełnego poszanowania odrębności kulturalnych i psychicznych poszczególnych narodów, jednak w żadnym okresie swych dziejów nie zatracił swego uniwersalistycznego, ponad narodowego charakteru. Dla katolika nie ma i nie może być sprzeczności pomiędzy interesem jego narodu, a interesem całej społeczności katolickiej. Są to poprostu pojęcia nadrzędne i podrzędne. Stwierdzenie to jest ważne, gdyż marksiści pragnęli by widzieć w katolikach polskich przedstawicieli jakiejś odrębnej całości w niczym nie powiązanej z resztą światowej społeczności katolickiej. Brak zrozumienia dla uniwersalistycznego charakteru katolicyzmu powoduje, że ustosunkowują się do Papiestwa jako do instytucji zbędnej, sztucznie narzucanej swą wolą katolikom.

Jest rzeczą oczywistą, że w swych pociąganiach natury politycznej Watykan może popełniać błędy, czy fałszywie oceniać sytuację. Jest więc dla nas też rzeczą oczywistą, że tę stronę działalności wolno krytykować. Nie mniej w naszym wypadku krytyka marksistowska jest tym bezpodstawną, że neguje uniwersalistyczny charakter katolicyzmu i pragnie patrzeć na posunięcia Watykanu tylko przez wązki pryzmat interesów politycznych danego państwa.

Krytykować zaś można posunięcia polityczne Watykanu — tylko z punktu widzenia interesów całości światowej społeczności katolickiej.

To samo się tyczy problemu duchowieństwa. Wszelka próba wyodrębnienia społeczeństw katolickich od ich hierarchii kościelnej, przeciwstawianie interesów jednych interesom drugich nie może prowadzić do celu. Najwyżej utrudnia obiektywność sądu katolikom. I tu też krytyka jest konieczna, dla dobra samego katolicyzmu przede wszystkim — musi być jednak zawsze rozważana z punktu widzenia najistotniejszych interesów chrześcijaństwa.

W istocie swej więc tak samo katolicyzm, jak i komunizm i socjalizm są prądami światowymi i ostatecznie o ich wzajemnym stosunku — rozstrzygają względy na miarę światową a nie polską.

Nie piszemy tego bynajmniej, by rzucić na siebie odpowiedzialność. Przeciwnie, jesteśmy zdania, że dopiero po wielu eksperymentach, dokonywujących się w

życiu wielu społeczeństw można będzie poważnie postawić sprawę na płaszczyźnie światowej. Tym większa więc odpowiedzialność spada na poszczególne społeczeństwa, które, zmuszone życiowymi okolicznościami — konfrontują ze sobą katolików, komunistów i socjalistów. Jesteśmy więc jak najbardziej za tym, by Polska się od tego obowiązku nie uchylała.

Pragniemy jednak zachęcić zwolenników koncepcji marksistowskich, by popatrzyli na katolicyzm z właściwego punktu widzenia, jako na światową religię, posiadającą swój, świadomy swych zadań aparat i masy o głębokim poczuciu zdyscyplinowania i solidarności.

Tak długo, jak na płaszczyźnie najwyższej nie zaistnieje atmosfera zrozumienia — na szczeblach niższych będzie nastroj tymczasowości, nieufności, jeśli nie otwartej wrogości.

Tyle co do założeń dyskusji — ale teraz co do jej celów. Rzuci się oczywiście w oczy fakt, że zestawione są pojęcia nie adekwatne: katolicyzm, socjalizm, komunizm. Istnieje konieczność rozbiecia dyskusji na szereg płaszczyzn.

Koncepcje filozoficzno - światopoglądowe katolickie i marksistowskie,

koncepcje społeczno - ustrojowe — katolickie, komunizmu i socjalizmu,

metody polityczne działania w świetle etyki chrześcijańskiej i innej.

Na wszystkich trzech płaszczyznach musiałoby dojść do wielu starć o różnym jednak napięciu. Koncepcje światopoglądowe są sobie przeciwstawne w zasadzie. Koncepcje społeczno - ustrojowe katolickie mogą być zbliżone do socjalistycznych w założeniach, lecz są niezmiernie odległe w realizacji i t. d.

Trzeba więc dążyć świadomie do zważania pola dyskusji, jeśli isię chce widzieć jakieś wyniki.

Na świecie toczy się dziś, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, wielka walka dwóch światopoglądów — chrześcijańskiego i materialistycznego. Marksizm jest jedną z form światopoglądu materialistycznego, tym ważną, że biorącą ideowo wyraźnie górę nad materializmem typu wolno - kapitalistycznego. Oba są jednak, z punktu widzenia katolicyzmu, jednakowo fałszywe i godne potępienia, niezależnie od faktu, że materializm wolno - kapitalistyczny dawno już przestał atakować Kościół i religię, przeciwnie bardzo chętnie powołuje się dziś na „święte prawo własności“.

W chwili, gdy marksizm dojrzywał w swych formach intelektualnych, Kościół Katolicki, osłabiony mordercą walką z liberalistycznymi i antyreligijnymi prądami, wycofał na gruncie wolnego kapitalizmu — znajdował się faktycznie na swych obronnych pozycjach. Bunt antykapitalistyczny, wzniecony przez Marksa, Engelsa i plejadę innych myślicieli i działaczy przełomu XIX i XX wieku, nie dostrzegł w chrześcijaństwie swego naturalnego sprzymierzeńca. Jak słusznie dowiódł tego w dyskusji ks. red. J. Piwowarczyk, Marks w swych zwyczajach budował swe doktryny na zasadzie wrogości do religii. Gdyby jednak rozpraczone masy proletariackie ówczesne mogły być dostrzec wartość i siłę katolicyzmu, i miast ustami swych przywódców wydawać mu wojnę — poszły na podobieństwo Kościoła dla obrony swych interesów — świat oszczędziłby sobie wiele przeszytych i przyszłych tragicznych znagań. Tak się nie stało. Dziś błąd staje się widoczny. — B e z c h r z e ś c i j a n s t w a nie zostanie wybudowany nowy porządek, lepszy od starego. Bez chrześcijaństwa można było tylko burzyć.

Walka ruchów ludowych z kapitalizmem liberalnym nie jest bynajmniej skończona, walka trwa i przybiera na sile w sposób zawrotny. Jednocześnie jednak wzrasta się walka o prymat światopoglądowy pomiędzy chrześcijaństwem i marksizmem.

Byłoby śmiesznością inicjowanie na jakimkolwiek odcinku prób ugody, czy

nawet prób zawieszenia abroni pomiędzy tymi światopoglądami. To nietylko nie możliwe, ale i nie potrzebne. Walka ta musi trwać do swego końca. Wszelkie też próby nawiązania intelektualnego kontaktu pomiędzy katolikami a komunistami, czy socjalistami, które sobie ten cel stawiały — musiały się konczyć żałosnymi niepowodzeniami.

Jest natomiast zadaniem obu stron walkę tę z o r g a n i z o w a ć. Znaczy to, iż w obliczu faktycznie dziejącej się na ziemi rewolucji społecznej, trzeba dążyć do wyodrębnienia zmagających światopoglądowych od aktualnych problemów konstruktywno - społecznych. Tu bowiem zachodzi czasami potrzeba zbliżonych wysiłków nad tworzeniem, zawsze przejściowych i niepełnych rozwiązań, ale koniecznych dla ratowania ludzkości przed kompletną fizyczną i moralną zagładą.

Światowy konflikt ideowo-społeczny pomiędzy materializmem wolno-kapitalistycznym, a materializmem komunistycznym nie rozstrzygnie się nigdy jednostronnym zwycięstwem. Rozstrzygnię się powstanem form nowych, trzecich. Wówczas też rozstrzygnie się i konflikt światopoglądowy. Dla nas, katolików, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zakończy się najpełniejszym zwycięstwem Kościoła, który przejąwszy wszystkie wartości społeczne, zetrze kompletnie gubnie naleciałości filozofii materialistycznej. Tych jednak nie warto dyskutować, gdyż tu ani katolik nie przekona marksisty, ani też na odwrót. Trzeba wierzyć. Świadomi różnic i zadań w walce światopoglądowej nie uciekajmy przed poznaniem się na wzajem w codziennej trosce o człowieka, który, w epoce tak burzliwej, jak nasza, potrzebuje prawdziwej opieki i pomocy.

Dla nas terenem pracy jest Polska. Jest ona zarazem, tak jak i inne części świata, terenem starcia światopoglądów. Nie próbujmy więc zacierać śladów walki światopoglądowej, udawać, że jej nie ma, czy że jej nie chcemy.

Stąd konieczność stworzenia w naszych warunkach ram dla konfliktów. W krakowskiej dyskusji, tak po jednej, jak i po drugiej stronie zauważyłem większość niechętnych, w obawie, by proponowany kontakt intelektualny nie rozkładował walki światopoglądów, nie odsunął zwycięstwa. Tych też trzeba najpierw uspokoić. O rozejmie na froncie światopoglądowym nie ma i nie może być mowy.

O cóż więc praktycznie może chodzić? Moim zdaniem o dwie rzeczy. Przede wszystkim o dostęp dla obu stron walczących do budowania dzisiejszej rzeczywistości polskiej. Jerzy Zawieyski słusznie wytoczył oskarżenie na pierwszym zebraniu, że antagoniści katolicyzmu nie chcą widzieć istniejącą siłę. Słusznie wypominał, że stać nas na obiektywne uznanie wartości przeciwników, gdy ich nie stać nawet na przyznanie się do naszego istnienia.

Jednak rzeczywistość polską można tylko budować razem, gdyż nie będzie nigdy dwóch rzeczywistości. Może być tylko chaos.

Nie odpowiadały i nie odpowiadają katolikom proponowane im role hamulców u kół materialistycznej przebudowy społecznej. Wiem dobrze, że w obozie katolickim jest wielu, którzy pod hasłem „wszystko, albo nic“ woła zaprzęścić pokolenie, niż dzielić się zadaniami. Wiem o tym, że tyle samo jest zwolenników tego hasła i w obozie przeciwnym. Sądzę jednak, zastrzegając jednostkowość tej wypowiedzi, że w Polsce możliwe jest tylko wspólne budowanie, to znaczy takie, które stwarzałyby warunki jednokowego rozwoju dla zwolenników jednego, jak i drugiego obozu. W języku politycznym nazywa się to współpracowaniem. Jest to wielkie słowo. Oby jednak świadomość doniosłości tego pojęcia dojrzała wcześniej, nim zaniknie jego sens!

Drugim zaś zadaniem intelektualnego kontaktu może być tylko wzajemne poznanie się. Dotychczasowe dyskusje, polemiki, rozprawy dają w rezultacie bardzo mało. Obie strony zajmują się przede wszystkim wytykaniem błędów, niedociągnięć, wypominaniem przeszłości. Połowa przemówień na krakowskich dyskusjach miała ten dźwięk. Wszystkie inne — były chwaleniem własnych poglądów, dowodzeniem ich wyższości.

Pragnąłbym zaś usłyszeć kiedyś dyskusję, w której komuniści i socjaliści zajęli by się precyzowaniem z ich punktu widzenia, wartości katolicyzmu, katolicy zaś zajęliby się odszukaniem wartościowych momentów dziejącej się rewolucji społecznej.

Wojciech Kętrzyński

W kraju...

Z KONGRESU STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO

JEDNYM z najdobitniejszych spre-cyzowań polityki ustrojowej, która ma być realizowana przez polskie partie marksistowskie, było oświadczenie III sekretarza CKW PPS dra Henryka Jabłońskiego, wygłoszone na kongresie Stronnictwa Demokratycznego.

„Dziś ani nie chcemy, ani potrzebujemy sięgać do naszych dawnych programów, głoszących hasło dyktatury proletariatu — mówił dr. H. Jabłoński. — Jest dziś ońa zbędna i sięgać po nią nie myślimy. Demokracja nasza nie może być kopią burżuazyjnych demokracji zachodu, nie może też trzymać się niewolniczo wzorów radzieckich. Na innym gruncie wyrasta, w innych warunkach gospodarczo-społecznych, w innym klimacie politycznym w skali światowej... Nie mamy dla siebie wzorów, będąc pionierami nowej, nieznannej dotychczas w świecie formy ustrojowej“.

Z powyższego oświadczenia, (które można nazwać oświadczeniem autorytatywnym), wynika, że polskie partie marksistowskie powinny w swych planach tworzenia nowej, nie posiadającej wzorów, formy ustrojowej uwzględnić specjalny charakter struktury psychicznej Polaków, z których ogromna większość, obok rozwiązań politycznych, domaga się w pierwszym rzędzie takich rozwiązań ustrojowych, które by były zgodne ze światopoglądem katolickim.

ZNAMIENNY ARTYKUŁ

W „GŁOSIE LUDU“ z 16 lipca ukazał się artykuł p. R. Łysiaka p. t. „Niepokojące symptomy w działalności duchowieństwa. Czy hierarchia kościelna chce walki z obozem demokratycznym?“

W artykule tym znajdujemy stwierdzenie, że „obóz demokratyczny jest, jeśli idzie o szereg jego czołowych stronnictw, niewątpliwie obcem o światopoglądzie laickim“. Obóz ten w swoich poszczególnych ogniwach posiada silne tradycje antyradykalne — jednak unikał starannie wszystkiego, „co mogło mieć charakter aktu skierowanego przeciw Kościołowi“.

Następuje wymienienie takich dowodów tej polityki, jak: reaktywowanie Uniwersytetu Katolickiego w Lublińcu, wyjęcie spod działania dekretu o reformie rolnej ziem należących do Kościoła, pozwolenie na powstanie i rozwijanie się czasopism katolickich, przywrócenie na skutek wyzwolenia kraju całego przedwojennego stanu posiadania Kościoła i duchowieństwa polskiego. Poza tym w artykule znajduje się stwierdzenie, że zawieszenie ważności konkordatu ze Stolicą Apostolską i wprowadzenie Urzędów Stanu Cywilnego dokonano się z „maksymalnym unikaniem jakichkolwiek akcentów antykościelnych, jakichkolwiek tendencji do walki z duchowieństwem, czy z Kościołem“.

W dalszej części artykułu p. Łysiak stwierdza, że „zasadniczą tendencją polityki polskiej powinno być wysuwanie tego, co nas łączy, a unikanie, odsuwanie na dalszy plan tego, co nas dzieli, gdyż losy narodu, losy Polski zależą od tego, czy potrafimy porozumieć się, stworzyć jedność narodu dla odbudowy kraju, dla założenia fundamentów i wzniesienia gmachu niepodległej i silnej Polski Ludowej“. W wyniku tej zasadniczej koncepcji sprzeciwiano się atakom na Kościół z powodu „takich czy innych mniej szczęśliwych pociągnięć poszczególnych dygnitarzy, kościelnych“.

Wylczenie tego wszystkiego trudno nazwać czym innym, jak stwierdzeniem, że względy natury politycznej podyktowały p. R. Łysiakowi i redakcji „Głosu Ludu“ takie a nie inne postępowanie. Katolikom, przede wszystkim tym, którzy ulegają tendencji ustalenia pewnego „modus vivendi“, to wszystko stanowczo nie wystarcza. Katolicy nie zgodzą się nigdy na zaledwie tolerowanie ich istnienia. Waleczący o Polskę demokratyczną doskonale wiedzą, że Polska demokratyczna to wcale nie synonim Polski marksistowskiej. Polska demokratyczna — to Polska, umożliwiająca rozwój tych światopoglądów,

Jestem zasmucony i własną słabością i tą ciemną nocą, którą będę musiał teraz pielegnować w sobie, owijać jakimś płomienym sztandarem i nazywać siebie patriotą...
Dopiero myśl o wszystkich zbrodniach okupantów zrywa we mnie tabun cwałujących, nienawistnych myśli. Poddaje się im, jakiś czerwony opar dodaje mi życia.

Przez kilka następnych dni chodzę, jak zwykle do „Magnolii. Robię drobne interesy, sprzedaję Krążykowi ruble i dolary. Obserwuję Bergmana, ale nie podchodzę do jego stolika. Siedzi tu często, otoczony młodymi ludźmi, którzy przychodzą z miasta, i nie rozbierając się nawet z pałt, składają mu jakieś wyjaśnienia. Słuchają uważnie z zamkniętą, niewzruszoną twarzą, potem krótkimi słowami wydaje polecenia. Młodzi ludzie wychodzą. Krążyk zbliża się do niego i widzę jak w papierowej serwetce podaje mu moje banknoty. Zatem Bergman kupuje także dewizy i robi to dyskretnie, jak większość waluciarzy, jakby również i jego obowiązywała ostrożność w popelnianiu przestępstwa.

Krążyk powiedział mi, że Bergman był kilkanaście lat w Anglii, jest właściwie na wpół Anglikiem. Czyta dużo poezji, zwłaszcza Szekspira, w czasie wojny uprawia kompozycję drobnych, nastrojowych pieśni. Kiedyś grał mu te utwory w swoim mieszkaniu.

— Wie pan? — zakończył Krążyk — dziwna ta jego muzyka. Słucha się jak utworów religijnych.

Obserwuję tego Ottona Bergmana — ale nie mogę wyrwać z tej twarzy zamkniętej, zaciśniętej jakąś tajemnicą. Jest to twarz najdoskonalej opanowana, jedyna jaką widziałem dotąd. Mogę go i to ciemne jego spojrzenie obserwować zaledwie przez chwilę i tylko wtedy, gdy z kimś rozmawia. Gdy bowiem jest sam, jego wzrok jest tak czuły i chwytny, że po kilku sekundach obserwacji, natychmiast, wolno i nieomylnie zwraca się w moją stronę, przylapuje mnie na spojrzeniu, z którym muszę uciekać.

Bergman wyciąga notes, wyrwa z niego karteczkę i coś pisze. Daje ją następnie Krążykowi, który ją bierze, odczytuje, wreszcie podnosi się i idzie do mnie.

— W sobotę zebranie o czwartej punktualnie — mówi, podając mi kartkę. Tak, to zawiadomienie o zebraniu, krótkie i podane w dzwonnej formie. „Obiecuję przyjść na zebranie w sobotę, 12 stycznia 1941 r. o godzinie 16“. Obok adres, rubryka na kilka nazwisk, przy których trzeba złożyć podpisy. Składam i swój.

Idę na to zebranie i wiem, że teraz wszystko staje się interesujące, może nawet wyolbrzymiam niepotrzebnie znaczenie pewnych szczegółów.

Mieszkanie Bergmana jest mieszkaniem artysty. Meble antyczne, dzieła sztuki, obrazy, figurki brązowe i porcelanowe, złoczone grzbiety książek. Ponieważ przyszedłem pierwszy i jestem sam, odczytuję te złożone litery: monografie rzeźby i malarstwa, albumy artystyczne, historie sztuki, Szekspir w wydaniu luksusowym, Goethe, symfonia Brucknera w ozdobnej oprawie.

W pokoju jest jeszcze jasno, jego okna wychodzą na podwórze. Coś milczącego i spokojnego w atmosferze tego wnętrza.

Uniwersytety dzisiejsze obok Akademii Umiejętności stały się łącznikiem zbratania kultur narodów. Wszystkie niemal wszechkategorie europejskie, amerykańskie, a nawet azjatyckie starały się zogniskować naukę i kulturę nie tylko wśród danych środowisk, ale otwary na oścież wrota kulturom, językom obcych narodów, aby w ten sposób rozprzestrzenić kręgi łączności i zapoznania się z obcymi poprzez ich dorobek pracy ducha, myśli i tych wartości, które przenikają poza granice państw, niwecząc granice dawnych chińskich murów jednych od drugich Pod-

dów, których wyznawcy na naród polski się składają. I właśnie na tym polegają owe inne warunki, inny grunt i inny klimat, o którym na kongresie SD mówił dr. Jabłoński. Zrozumienie tego stanu rzeczy — to szybsze zwycięstwo demokracji. Wyciągnięcie wniosków przez wybitnych polityków obozu akatolickiego winno nastąpić jak najszybciej. Właśnie dla dobra narodu, dla dobra Polski.

Kazimierz Zenon Skierski

Zebranie tajne

Przez uchylone drzwi drugiego pokoju widzę fragment pianina, nad nim jakiś piękny portret kobiety robiony sangwiną. — „Czy on to wszystko pokradł Żydom?“ — myślę — i w tę myśl wpada pierwszy dzwonek. Schodzą się ludzie, niektórych znam z widzenia. Sama młodzież, najstarszym z nich jest Krążyk, reszta to dwudziestolatki. Czuję się najwyraźniej skrepowany swoim wiekiem — ja tutaj? Ale ciekawość jest zbyt silna we mnie. Przystaję być naraz spokojny, gdy po którymś dzwonce drzwi otwarły się i stanęła w nich — to jest nie do wiary, jak mnie to przybiło — stanęła w nich Wanda, tak ta siostrzenica Leopolda. Znam ją z widzenia. Widziałem ją zaledwie dwukrotnie, więc patrzę: ma niecałe 16 lat, ale wygląda co najmniej na 19. Wysoka, mięsista, twarda, o dużej blond głowie, dużych piersiach, które rozpychają lichy, niebieski sweter, — dziewczyna o dużych rękach i ciężkich, masywnych dłoniach. Podaje mi tę grubą dłoń, nie poznaje mnie; ona widziała mnie tylko przelotnie, w sklepie Leopolda.

Wanda siedzi przy mnie ciężko, twardo. Jest zgrabna, ale w jakimś rozległym, germańskim stylu. Blond włosy, gęsto sfalowane, ciało różowe i pulchne, rysy twarzy proste, ubogie prawie, ale nie pozabawione wdzięku rzeźb prymitywnych. — Oczy jasno szare z niebieskim błyskiem, podkrążone ciemną, niezdrową obwódka. Siedzi prosto, nic nie mówi. — Jest mi najwyraźniej nieprzyjemnie. Siedzę wciśnięty w kanapę, nie odzywam się ani słowem, obserwuję ją, obserwuje resztę zebranych. Zachowują się swobodnie, widocznie bywali już tu wiele razy. Śmieją się, jak na studenckim balaganiku.

Punktualnie o czwartej wchodzi Bergman. Wita się z obecnymi powściągliwie, prawie chłodno, jego twarz jest sucha i zamknięta. Siada koło mnie na małym foteliku, wyjmując ołówek i notes, rzuca krótkie spojrzenie na zebranych i zaczyna łamaną polszczyzną, skrzywioną od szorstkiego obcego akcentu:

— Już dziś nareszcie ja chciałem wam powiedzieć, że wasza praca wcale się mi nie podoba. Ja przypominam w tym miejscu, że wy jesteście wzięte do pracy, a nie do flirtu jakiegos. Ja specjalnie otworzyłem wam kredyt w tych kilku cukierniach i restauracjach i ja za was płacę, bo rozumiem, że spędzając tyle czasu, to wy musicie coś zjeść. To ja za was płacę, ale z tego nie idzie żaden pożytek. Nic nie robicie. Chodzicie sobie parami i flirtujecie. — Tu pokazuje palcem: — Heniek idzie ciągle z Marysią, Leszek z Molly — wymienia jeszcze kilka imion tych młodych ludzi. Uśmiechają się na to, jedna z dziewcząt wykrzykuje w zdumieniu: „Co? Ja?“ — Bergman ciągnie dalej:

— Mnie nic nie obchodzi co wy robicie ze sobą po swoich obowiązkach, ponieważ ja nie jestem wasz ojciec, ani nauczyciel. Ale praca, to jest, to musi być najpierw.

Panienska, nazwana Marysia, pochyla na- gło bardzo nisko głowę, prawie do kolan, i tak trwając, zaczyna drzeć na całym

ciele. Placze przez zaciśnięte wargi, nie widząc jej twarzy, tylko mały, spłowiwały berecik, przypięty skromną szpilką do czarnych włosów. Bergman przerywa, obserwuje w dość długim milczeniu dziewczynę, czeka najwidoczniej, aby się uspokoiła.

— No? Co jest? — pyta w końcu z opóźnieniem, prawie bez wyrazu. — Dlaczego Marysia płaczesz?

Dziewczyna, łkając, wyrzuca z siebie bezładnie:

— Bo przeze mnie aresztowali człowieka! Siedzi już miesiąc... Ja tego nie chciałam!...

Nastroj robi się bardzo nieprzyjemny. Wszyscy zebrani unikają swoich spojrzeń, swoich twarzy, tylko Wanda rozgląda się uważnie, całkiem nietaktownie, patrzy kolejno na każdego z obecnych. — Bergman uśmiecha się, ale tak krótko i nagle, jakby ktoś otworzył i zamknął zaraz książkę. Mówi prawie łagodnie:

— To są skrupuły całkiem nieuzasadnione. Wszyscy wiecie, że nie wolno handlować z dewizami, że to jest zabronione przez władze i że to jest karane. Wasz obowiązek jest pomagać władzy w tym odszukaniu winnych, którzy będą ukarani. I to jest całkiem uczciwa praca, taka praca, jak każda inna; to nie jest trudno zrozumieć.

Doznając pierwszego wstrząsu, trochę nie pojmuję jeszcze, ale coś nagle wydaje mi się brudnym w całej sprawie, nie umiem tylko tego określić. Płaczą mi się jakieś pytania: „Tajny wywiad? Więc to jest tajny wywiad?“

Bergman zwraca się ponownie do dziewczyny:

— On wyjdzie w tych dniach, ten twój kundman.

Dziewczyna podnosi naraz szybko gniewną, zbuntowaną twarz.

— Nieprawda! On ma być wywieziony do obozu pracy. Przesłał list z aresztu!

Na to Bergman:

— Ja tobie przypominam, że Arbeitsamt też tobie posłał niedawno wezwanie, i że tylko dzięki ja, dzięki mnie — poprawia się — on je znowu wycofał.

Dziewczyna odpowiada trzeźwo, ale tonem ześlonego dziecka:

— Ja wolę już pojechać tam, niż zdradzać ludzi, którzy mają kilka złotych rubli u siebie!

Bergman patrzy na nią spokojnym, ale sztywnym, złowrogim wzrokiem.

— Jak chcesz — mówi dobitnie, i od razu wraca do przerwanego tematu:

— Więc wy prawie nic nie robicie, nie słuchacie, nie staracie się. Od trzech tygodni były tylko dwie sprawy doniesione. I w obu wypadkach wykazało się, że dolary były podrabiane. — Wyciągnął z notesu jakiś papier. — Właśnie dziś przyszło o tym zawiadomienie z Berlina.

Z lekkim grymasem uśmiechu zwrócił się do następnej panienski, przesadnie upudrowanej:

— Molly, nie dostaniesz swoje dziesięć procent, napróżno pracowałaś.

Polonistyka wczoraj

W pierwszym rządzie najliczniejsze katedry polonistyki były w Niemczech (16), Francji (10), Włoszech (5), a w reszcie państw 5 — 1, tak, że wszędzie mieliśmy ambasadę duchowe i wszędzie słyszało się — w murach obcych wszechkategorie język polski, z książek, czy naszych romantyków, czy prozaików wybitnych. Po wojnie światowej w zdumiewający sposób szerzył się kult polskości, zaś uniwersytet, gdzie wykładano polonistykę, szerzył ten kult na szeroką skalę. Mieliśmy piękny dorobek prac polonistów zagranicznych. Niektórzy z nich zestawili w książkach wspaniałe bilans polonistyki i slawistyki zagranicznej.

Paul Casin, znakomity tłumacz polskich arcydzieł, zestawiał bilans zasięgu slawistyki we Francji. Autoro Cronia w książce „Per la storia della slavistica in Italia“ obrazował ruch slawistyczny i polonistyczny we Włoszech od 17 wieku. Zestawił wszystkie prace, odnoszące się do włoskiej slawistyki i polonistyki zacytował wszystkie niemal przekłady arcydzieł

nie miała się sprawa z polonistyką, która wraz ze slawistyką docierała do wszystkich środowisk uniwersyteckich, dając imponujące rezultaty naszej ekspansji duchowej. Po upadku Polski emigracja nasza w końcu 18 i początku 19 wieku zaniósła nie tylko orły legionowe na bitew, ale w większej mierze rozprzestrzeniła naszą kulturę, zwłaszcza we Włoszech, Francji, a także i w innych krajach Europy. Slawistyka zawsze łączyła się z polonistyką. Pierwsze katedry polonistyki spotykamy we Włoszech, potem we Francji, w Niemczech, a katedry te zaczęły słać naszą kulturę narodową w odróżnieniu do innych Słowian, dając nam pierwszeństwo. Nie należy zapomnieć, że tutaj środkiem propagandy polonistycznej stał się Sienkiewicz, laureat nagrody Nobla, dzięki czemu mnożyły się przekłady Sienkiewicza i autora „Quo Vadis“ zaczęto gloryfikować, a siłą faktu język polski zyskiwał sobie uznanie za arcydzieła sienkiewiczowskiej prozy. Po wojnie światowej już nie slawistyka, ale polonistyka zdobyła sobie ad home na 147 wszechkategorie Europy i Ameryki.

go wywiadu

(Fragment z powieści p. t. „Głodne żywioły“.)

Jestem wzburzony! — Czy to jest podwójna gra? Więc to jest ten „czerw w ciele Gestapo“? To jest Intelligence Service? — Ale gdyby nawet tak było, w tym wszystkim jest coś brudnego, przerażającego! — A może to pułapka? — Bergman znowu zaczął mówić. Apelowal do inicjatywy i staranności, a stały zwrot „To jest uczciwa praca“ przyprowadził mnie wprost o jakieś moralne torsje. — Więc w ten sposób pomaga się w zniszczeniu hitlerizmu? — Patrzą nienawistnie na Krążyka, ale on z oczami wlepionymi po bożnie w dywan, słucha tej piekielnej ewangelii, skupiony niemal religijnie. — Jestem tak spoliczkowany, czuję się tak oszukany, że nie mogę już patrzeć na twarz Bergmana. Patrzą w okno, ale jest już ciemno, nic nie widzę. W oficynie sąsiedniej zapalono światło w jednym oknie. Dostrzegam fragment kuchni, biały kredens, miedziane rondle stojące na półce — znane pomoce ludzkiej egzystencji. Nad oknem jest prawie czarno, tylko wyżej, nad zrębem dachu wylania się z ciemnego, brudnego tła różowy blask, padający od dalekiej, ukrytej latarni. Patrzą w ten okrągły, nikły wachlarz światła. — Czyż nad tym miastem spieczonym w tej chwili gorączką zła i nienawistnych pragnień, nie ma siły ogromnej i gwałtownej, która by w sercu ludzi miotanych małością cisnęła płomień oczyszczenia? Czy wszelkie zło mieszka w nas za naszym jedynie dopuszczeniem, czy też przywołujemy je w siebie, spragnieni jakiegokolwiek wielkości i mocy, ale już zbyt słabi na to, aby samodzielnie zepchnąć je z naszych namiętności? — Gdybyśmy byli równie bezwolni wobec dobra, jak i wobec tej ciemnej siły — czymże stalibyśmy się pośród promieni słonecznych, oświetlających codziennie wszystkie arcydzieła ludzkiego wysiłku?

Bergman dotyka mojej ręki końcem ołówka.

— Pan nie słyszał? — Pyta.

— Słucham — mówię.

— Pan wspominał niedawno Leszkowi

— wskazuje ruchem głowy na Krążyka

— pan wspominał o jakichś brylantach.

— To już nieaktualne! — odpowiadam szybko.

— Sprzedane? Komu?

— Nie! — kłamię! — właściciel wyjechał z Warszawy. — Dokąd?

Wstrząsam ramionami. — Nie wiem.

Pali mnie wstyd wobec tych wszystkich młodych ludzi, nie wiadomo czy już zdeprawowanych, czy tylko gnanych ciekawością przygody. Odpowiedź dostaje bardzo szybko. Po dzwonku w przedpokoju, wchodzi w palcie jeszcze jeden chłopak. Znam go z widzenia: coś zawsze kombinuje z Krążykiem, coś wypisuje mu na karteczkach, gestykulując obficie przed twarzą. Wszyscy mówią do niego „Janek, Janku“! Jest błąd i ciemna oprawa okularów dodaje jego twarzy czegoś chorobliwego, powiedziałbym, czegoś z nieczystej ascezy.

Bergman spogląda na zegarek.

— Spóźniłeś się dwadzieścia trzy minuty. To jest nieprzyzwoicie!

— Przepraszam — mówi szybko — ale nie mogłem od tego Żyda prędzej wyjść.

— Co ma?

— Nic ważnego — krzywi się — trzy złote zegarki, jedna dewizka i dziesięć złotych monet we frankach francuskich. Ale trzeba zaraz iść. Kto pójdzie?

Bergman wskazuje palcem:

— Molly.

Dziewczyna podnosi się i wychodzi do przedpokoju. W tym samym czasie Bergman poucza chłopaka, który stoi niecierpliwie, ogląda się na Molly, pali go jakiś trujący ogień. Ledwie słyszy, że Molly ma z nim wejść jako kupująca, ma obejrzeć przede wszystkim rzeczy, czy są i ustalić cenę, przy tym należy targować się dla pozorów. Po ustaleniu ceny Molly powie, że zaraz wróci, tylko pojedzie z kimś z domowników po pieniądze, blisko, na sąsiednią ulicę. Jej towarzysza ma zostawić. Skoro tylko wyjdą z bramy (powiedzmy z synem tego starego Żyda), Molly da jakiś znak agentowi który będzie czekał po drugiej stronie ulicy.

— Jaki znak, Molly?

Dziewczyna, już ubrana, odpowiada spokojnie i gładko:

— Jak otworzę parasolkę, to znaczy, że jeszcze złoto jest, bo być może, że on je gdzieś schował, te franki. Jeśli nie otworzę, to znaczy, że nie ma.

Bergman wyjaśnia:

— Jeśli nie będzie, to wyjdiesz sama i agent musi do nich tak samo iść zrobić rewizję.

Na to chłopak stojący w palcie, mówi gorąco, głośno:

— Ale oni muszą nas także aresztować!

Molly wzrusza niecierpliwie ramieniem:

— Naturalnie, to się wie!

Bergman:

— Idźcie do Devisenstelle, weźcie agenta, umówcie się z nim. Jutro o dziesiątej czekam na was w „Magnolia“ — to wiecie.

Dwoje młodych ludzi wychodzi.

Teraz Bergman zwraca się do mnie:

— Są funty angielskie na ulicy Elektralnej. Pan pójdzie z teczką w rękę, pan je kupisz. Resztę to panu wyjaśni Wanda. — Wanda kiwa życzliwie głową.

— Dobrze — mówię.

— Pan jutro spotka się z nią też o dziesiątej, sprawę omówicie dokładnie.

Odpowiadam:

— Dobrze.

Bergman:

— Dostaje pan dziesięć procent od wartości dewiz.

— Dobrze.

— Ale dopiero jak pieniądze sprawdzą w Berlinie. To trwa parę tygodni.

Uśmiecham się:

— To nie szkodzi.

Bergman jeszcze dopowiada:

— Obce waluty liczy się według wartości przedwojennej a nie według giełdy obecnej.

Znów się uśmiecham:

— No, trudno...

Bergman patrzy na mnie uważnie:

— Tych funtów ma być za to dużo!

Odpowiadam już ostatecznie, jakbym się zamykał na wrzeczadze:

— To dobrze, to bardzo dobrze...

Pytam go na raz jakimś cudzym głosem:

— Pan pozwoli, że ja już pójdę?

— Proszę — odpowiada.

Podaje mi rękę, którą chwytam drętwym uściskiem. Kłaniam się wszystkim, wychodzę automatycznym, nawpół świadomym krokiem, w którym towarzyszy mi mdły, niepotrzebny uśmiech Krążyka. Zamykam ostrożnie, najciszej drzwi przedpokoju, jakbym zwykłym trzaskiem nie chciał sproszyć tej zmywy głodnych żywiołów, tych głów pochylonych ku sobie, tych szepotów niszczących siebie i spojrzeń wyrastających z dna okrutnej nocy. — „Sabat, sabat!“ — szepczę do siebie przejęty.

Dotykam poręczy jak pijany, płacząc się na schodach, paląc mnie policzki. Wychodzę na ulicę, staję w świetle latarni, tego światła, o które myśl moja zaczęła się może, jakby o jedyny ratunek. — Stoję, nie wiem co myślę. Koło mnie przechodzi żołnierz z dziewczyną. Nie słyszę ich słów, ale kiedy już zamkną ich krąg ciemności, leżący o kilka kroków ode mnie — nagle ostrym skowytym i buntem przypominam sobie świstek, leżący w portfelu, papier palący mnie teraz każdą wybitą na nim literą! „Hiermit wird bestätigt, dass Herr...“. Tak, tak! „Zaświadcza się, że pan Władysław Kalina jest zatrudniony w Urzędzie Dewizowym i z tego tytułu nie może być wzięty do żadnych innych robót przymusowych“. Władysław Kalina, to ja! — Idę cały w płomieniach tych wrogich, piekielnych słów — to jest koszula Dejaniry! Idę; najwyższym wysiłkiem, który przychodzi na mnie jak łaska, wsiałam do tramwaju, aby nie iść mostem, nie zobaczyć tych nienawistnych pleców żołnierza niemieckiego, nie rzucić się obłąkańczo, by sięgnąć go do bariery mostu i pchnąć!

Leżę z płonącą głową, nie mogę zasnąć. Jestem mały i bezradny nie wobec zwykłego oszustwa, jakie na mnie popełniają, ale wobec tej łatwej ohydy, jaka w kręgu wytwornych mebli i dzieł sztuki spłynęła na młodych, nierozumnych biedaków, widzących naród poprzez nienawiść. „Uczciwa praca, to jest przecież uczciwa praca“ — te słowa chłoczą mnie. — Przewracam się na łóżko. I nagle przypomina mi się Malus, ten z wczorajszej rozmowy, dywersant. Zrywam z siebie kołdrę, wstaję z łóżka, i wśród tego milczenia równie bezsilny, jak on wobec grozy jutrzejszej śmierci, kłękam i czyniam się modlić. Urywam po paru słowach, ale dalszym ciągiem mego pacierza jest pragnienie, najżarliwsza prośba, aby to jutro nie nadeszło, nie stało się. Proszę o jakąkolwiek przeszkodę, o wszelkie możliwe przeszkody, któreby odwróciły ode mnie tę hańbę.

Jestem tak słaby, że ledwie mogę trafić do pościeli. Okrywam się ciężkimi, pudowymi gestami i zasypiam snem rozległym, beładnym, niepośpiesznym.

Kazimierz Zenon Skierski

W świetle...

PRZED KONGRESEM POKOJOWYM

PRZEGLĄD spraw omawianych na konferencji paryskiej, wygłoszony w radio amerykańskim przez min. Byrnesa, pozwala mniemać, że rozpoczynająca się 29 lipca konferencja pokojowa może przynieść zadawalniające w swym rozwoju proceduralnym rezultaty. Byrnes co prawda stwierdził, że przygotowane projekty traktatów nie są tak dobre, jak można by sobie życzyć — ale są najlepsze, jakie udało się uzgodnić między czterema wielkimi sojusznikami.

Największą trudnością do pokonania na konferencjach paryskich była sprawa traktatu pokojowego z Włochami. Kom. promisywe rozwiązanie sprawy Triestu, odroczenie na 1 rok ostatecznej decyzji co do kolonii włoskich, było bez wątpienia dużym osiągnięciem czterech rozmawiających w Paryżu Partnerów.

Na marginesie wywodów min. Byrnesa warto zaznaczyć, że napewno kompromisy w sprawie Włoch nie zadawalają ani czterech Partnerów, ani bezpośrednio zainteresowanych: Jugosławii i Włoch. Wydaje się, że czas ureguluje sprawę Triestu. Teraz można tylko powtórzyć opinię Byrnesa, że dokonane w Paryżu uzgodnienia „stanowią zadawalniającą próbę przywrócenia pokoju, najbardziej zadawalniająca, jakiej można się spodziewać w tym nie-doskonałym i wyczerpanym wojną świecie“.

MICHAJŁOWICZ
SKAZANY NA ŚMIERĆ

WMOTYWACH wyroku Trybunału wojennego w Belgradzie, skazującego Michajłowicza na karę śmierci, czytamy: „Zostało dowiedzione, że oskarżeni współpracowali z okupantami niemieckimi i włoskimi, z którymi zarówno Michajłowicz, jak i jego bliscy spotykali się wielokrotnie“. Przewodniczący Trybunału w swoim przemówieniu oskarżył również gen. brytyjskiego Mc. Phersona, jugosłowiański rząd emigracyjny w Londynie i kilku brytyjskich oficerów łącznikowych, którzy podzegli Michajłowicza do walki z partyzantami marsz. Tito.

Ostatnie słowa Michajłowicza na procesie brzmiały: „Całe życie nienawidziłem Niemców i miałem wiele sympatii dla ZSRR. Trudno, los był dla mnie niełaskawy“.

CIEKAWOSTKI Z NORYMBERGI

JESZCZE przed wojną Goering miał zamiar uzyskać dla Niemiec wpływy w amerykańskich koncernach. W tym celu opracowywał bez wiedzy Hitlera plan zainwestowania w Ameryce 50 milionów dolarów, z czego 5 milionów pochodziło jakoby z jego osobistych „oszczędności“. Możliwości Goeringa co do inwestowania tak dużych sum pochodziły z tego, że będąc w owym czasie pełnomocnikiem planu czteroletniego rozporządzał wielkimi sumami. Dla zbadania tej, bądź co bądź, ciekawej sprawy udał się do Waszyngtonu prokurator amerykański John Roggo.

ODNALEZIENIE ALBERTA FORSTERA

POLSKA Wojskowa Misja do Badań Zbrodni Niemieckich, działająca na terenie okupacji angielskiej, odnalazła w jednym z obozów dla SS-manów ukrywającego się Alberta Forstera, b. gauleitera Gdańska w czasie wojny i namiestnika na Pomorze Zachodnie. Forster jest zgłoszony przez Polskę na listę międzynarodową zbrodniarzy wojennych. Wszystko wskazuje na to, że w niedługim czasie nastąpi wydanie go władzom polskim.

DOŚWIADCZENIA ATOMOWE
W AUSTRALII

AUSTRALIA oczekuje decyzji rządu brytyjskiego co do projektu szefa brytyjskiej misji technicznej, gen. Everts'a, który zażądał przeznaczania 7—8 milionów funtów szterlingów na urządzenie w centralnej Australii terenów doświadczalnych dla dokonywania prób z bombami rakietowymi i atomowymi. Na cel doświadczalny miałyby być przeznaczane dawne zakłady zbrojeniowe w Południowej Australii. W razie zatwierdzenia projektu ludność cywilna na przestrzeni 1500 kilometrów zostałaby wysiedlona.

szej i dzisiejszej doby

polskich na język włoski. Obok Croni Enrico Damiani był bodajże najplodniejszym tłumaczem arcydzieł polskich, zaś jego przekłady należą do czołowych tłumaczeń w europejskim dorobku tołmaczeniowym. We Włoszech również sporządzono pierwszy podręcznik dla polonistów włoskich: „Sonetti di Crimea ed altro poesie“ autorów Mieczysława Brahmery i Henryka Damianiego. Jest to wzorowy podręcznik dla cudzoziemca. Według tego podręcznika powstały i podręczniki niemieckie, czy angielskie i t. p. dla polonistów obcych. W tym czasie mnożą się historie literatury polskiej wśród obcych. Roman Dyboski napisał świetny podręcznik dla Anglików, a Chesterton nazwał go pierwszą książką zbratania Anglików z Polakami. W ojęzyźnie nowej Conrada Korzeniowskiego stała się literatura Dyboskiego rewelacją naszej łączności z Anglią. Brückner dał po niemiecku literaturę polską oraz rosyjską, obydwie książki w kilku wydaniach oddały niesłychaną usługę polonistyce i slawistyce.

W ślad za Brücknerem monachijski polonista Bernecker, dał gramatykę polską i rosyjską. Znów te dwie książki, na których wzorowały się podręczniki dla polonistów innych krajów, zostaną zawsze wzorową gramatyką polską i rosyjską. Z cudzoziemców zjeżdżali się rok rocznie Sławiści nasi i poloniści, rekrutujący się w Polsce, a w tym czasie z dumą słuchaliśmy obcych, mówiących naszym językiem. Mógłby Mikołaj Rey, czy Kochanowski powstać z grobu i cieszyć się, żeśmy nie gęsi i swój język mamy, którym mówią i różne pogany. A tu nie poganie, tylko Europejczycy, a nawet Amerykanie popisywali się wyuczoną polszczyzną. Wszystko dzięki katedrom (147) polonistyki i slawistyki wśród obcych. Niepodobna nie wspomnieć Ameryki, gdzie poloniści z New Jorku, czy Chicago, albo z Kalifornii uczyli języka Sienkiewicza swoich rodaków. Cieszyły się Sienkiewicz, gdyby w Maripozie słyszał Amerykanina mówiącego po polsku, nie wersetami biblii, jak Putrament, ale piękną jego polszczyzną.

Dzisiaj po przerwie sześciolatniej po-

winniśmy z tym samym rozmachem, co po wojnie światowej zabrać się do tego środka niezawodnej propagandy naszego istnienia i naszej ekspansji duchowej. Zapewne, że w ten sposób zdobędziemy silną prawa do egzystencji narodu o tak potężnej kulturze. Zwłaszcza powinniśmy się postarać o katedry polonistyki na wszystkich wszechnicach słowiańskich, a byśmy na zjazdach słowiańskich mogli przemawiać dla słowiańskim językiem, zrozumieliśmy słowa każdego ucha słowiańskiego, a nie innym, jak to dotychczas miało miejsce.

Mickiewicz w Kursach literatury słowiańskiej przepowiadał ten rozrost kultur słowiańskich, marzył o przekładach z języków słowiańskich na język polski i wierzył, że Słowianie dorównają zachodowi Europy w tej wielkiej pracy zbratania się po przez języki, kulturę wszystkich z wszystkimi.

O to winna być troska nasza, abyśmy zrealizowali postulaty największego poety polskiego i słowiańskiego, Mickiewicza.

Michał Asanka Japoń

TYDZIEŃ KULTURALNY

NOWY MSZAŁ

ROSNĄCY prąd współzycia z Kościołem wywołał potrzebę sięgnięcia do modlitw liturgicznych. Jeszcze 20 lat temu rzadkością bywały książki do nabożeństwa, zawierające teksty modlitw mszalnych. Ale nie długo potem poczęły się cieszyć wielką popularnością mszały benedyktyński „Dom“ G. Lefebure, wydawany we wszystkich językach świata przez Societ  Liturgique. W Polsce istniało także kilka mszałów (np. Jezuicki) i mszałików (wyd. św. Wojciecha). Dziś mszały są w handlu całkowicie wyczerpane. Nowych nie ma. Belgijskie nie przychodzą, zresztą były zawsze bardzo drogie. Przygotowywany od dawna przez OO. Jezuitów czterotomowy mszał codzienny nie ukazał się dotychczas i nie ma, zdaje się szans, aby się prędko mógł ukazać. Dlatego też dobrze się stało, że ruchliwa firma E. Kurthana wypuściła nowe wydanie mszalika szkolnego ks. Tworowskiego „Ciebie Boże chwalimy“. Jest to mszał obejmujący niedziele i większe święta. Odnacza się przejrzystością układu i celową zwięzłością. Niestety — drukowany jest na papierze bardzo złym. Czyżby lepszemu nie było?

A propos książek religijnych. Nie możemy się doczekać nowego (i taniego) wydania Nowego Testamentu. Podobno wyd. św. Wojciecha przygotowuje nowe popularne wydanie w nowym zupełnie tłumaczeniu. Słyszysz się o tym od dawna, ale tylko słyszysz...

KONKURENCJA DLA „PRZEKROJU“

WYSZEDŁ pierwszy numer ilustrowanego tygodnika łódzkiego p. t. „Tydzień“. Pismo utrzymane na wysokim poziomie graficznym ma widać ambicję stania się drugim „Przekrojem“ — rodzajem barwnego magazynu z lekką nutką sensacji, ale nie stroniącego od poważnej publicystyki. Pierwszy numer „Tygodnia“ więcej zapowiada niż daje. Poza dobrym — spod dobrego pióra wyszłym — artykułem „Ludzkie i antyludzkie“, inne artykuły są raczej słabe.

„ZNAK“

UKAZAŁ się także pierwszy numer katolickiego miesięcznika „Znak“. Miesięcznik odznacza się doskonałym wyglądem zewnętrznym, starannym drukiem i poważną treścią. Numer otwiera artykuł ks. Michalskiego, może zresztą mniej przejrzysty niż inne artykuły tego świętego publicysty. Po dobrym artykule Halbana, bardzo dobrym — Skwarczynskiej, mamy znakomity, jeden z najlepszych, najtreściwszych i na pełniejszych w ujęciu z tych, jakie ostatnimi miesiącami czytaliśmy, artykuł Jerzego Turowicza p. t. „W stronę społeczeństwa“. Artykuł ten „stawia sprawę“ zasadniczo i wy-czerpująco; pod nim można się tylko wypowiedzieć lub — od katolicyzmu odejść.

Reszta numeru na znacznie niższym poziomie. Kroniki — w których nie brak wycieczek w stronę naszego pisma — raczej pobieżne i powierzchowne.

W PIEKLE MOŻNA SIĘ TEŻ URZĄDZIĆ

TAK formułuje zasadę egzystencjalizmu Mounier. Jego doskonałe wywody, drukowane niedawno w „Odrodzeniu“, uzupełnia artykuł Danielou o mawianym wyżej pierwszym numerze „Znaku“. Artykuł ciekawy. Warto by się zastanowić, czy zjawisko egzystencjalizmu nie występuje także w Polsce. Wydaje nam się, że raczej tak. Zwłaszcza np. „lewicowanie“ Andrzejewskiego ma sarkastyczny smak „wartości tym wyższej, im bardziej jest ona nietrwała i uzależniona“.

LAUREAT?

DNIA 22 lipca zostanie ogłoszony wynik konkursu „Odrodzenia“ na najlepszą książkę, wydaną po wojnie. Ponieważ nasza notatka ukaże się już po ogłoszeniu konkursu, wolno nam chyba napisać, że widzimy tylko jedną pozycję, godną takiego odznaczenia i która niewątpliwie byłaby odznaczona przez nas, gdybyśmy rozporządzali funduszami „Odrodzenia“. Myślimy o nowelach Wojciecha Żukrowskiego, zawartymi w tomiku p. t. „Z krainy miłczenia“. Toż by był dopiero kawał, gdyby jury właśnie Żukrowskiego nagrodziły!

KALENDARZE NA 1947

JAK się dowiadujemy, postępują prace nad zredagowaniem „Kalendarza Warszawskiego“ na rok 1947. Ma on być

kilkakrotnie większy niż kalendarz na rok bieżący. Również w Poznaniu przygotowuje się specjalny kalendarz z tekstami poświęconymi współczesnym problemom życia katolickiego i narodowego.

Przegląd prasy

Artykuły Edmunda Osmańczyka z cyklu „Sprawy Polaków“, drukowane w „Przekroju“, posiadają zupełnie specjalny charakter. Nie są naiwne mimo wyraźnego dydaktyzmu — nie są patetyczne mimo wielkich stwierdzeń i niesłabnącego napięcia. Konstrukcja tych artykułów Osmańczyka ma coś zupełnie swoistego — wydaje się, że artykuł składa się z samych point, że brak mu tych koniecznych czytelnikowi spokojnych „przejść“, które pozwalają na akcentowanie miejsc zasadniczych.

Nie jest przypadkowym zastanawianiem się nad konstrukcją artykułów Osmańczyka. Właśnie konstrukcja, właśnie sposób pisania zmusza do poszukiwania istoty napięcia twórczego u znanego reportażysty. Ogromna pasja, z jaką Osmańczyk podchodzi do zagadnień ideowych — pasja jego artykułów publicystycznych — sprawia, że oddźwięk tych artykułów jest zupełnie specjalnego rodzaju. Czytelnik odnosi wrażenie, że artykuły pisze bardzo młody człowiek, debiutant publicystyczny, wyżywający się w tematyce oderwanej. Takie wrażenie nie odbiera wartości artykułom Osmańczyka — odbiera ją raczej czytelnikowi, jako zbliżowanemu odbiorcy wypocin publicystyki politycznej, nie umiejącemu podejść do czyichś myśli od strony ich słuszności, ich entuzjazmu i żywiołowości.

Pozatem jedno i dość ważne. Artykuły Osmańczyka z cyklu „Sprawy Polaków“ nie powinny ukazywać się w „Przekroju“. „Przekrój“ nie jest pismem dla tego rodzaju prac. Wydaje się, że redakcja „Przekroju“ kwalifikuje te artykuły Osmańczyka do druku tylko na podstawie nazwiska, a nie na podstawie tematyki i sposobu rozwinięcia i przeprowadzenia myśli. „Przekrój“ nie jest pismem dla wszystkich. Nie jest pismem przede wszystkim dla tych, którzy w artykułach cyklu „Sprawy Polaków“ poszukują czegoś więcej, niż sensacji, lub ciekawego i swoście rozwiązane go zagadnienia.

Trzeci artykuł Osmańczyka z cyklu „Sprawy Polaków“ p. t. „Granica upływu krwi“ posiada w sposób specjalny wypukłone wszystkie omówione wyżej cechy. Jest naiwny i nie naiwny — patetyczny i bez patosu, słuszny a jednocześnie nie przekonujący. Odnosi się wrażenie, że dla przeprowadzenia ogromnie trzeźwej, pozytywistycznej i nieromantycznej tezy użyto wszystkich romantyczności i wszystkiego nierealizmu, jakim rozporządza autor.

Powieść o Polonii Amerykańskiej

Lilian Seymour Tułasiewicz „Dag córka Kasi“, Kraków, St. Kamiński, 1946, str. 466.

Brałam do ręki „Dag córka Kasi“ z pewnym zaciekawieniem, ale i nieufnością, bo jakkolwiek w objaśnieniu wydawnictwa, dotyczącego osoby autorki, był pewien wabik, z drugiej strony sam fakt, że pisać o nas będzie cudzoziemka, nastrojał z góry krytycznie. Zestawiając jednak pewne daty i zdarzenia, można sądzić, że w grubszych zarysach książka oparta jest na danych autobiograficznych — co zapewniło jej świeżość i prawdziwość przeżyć bohaterki.

Dzieciństwo Dagny spędzone w Polsce w bliżej nieokreślonej wsi podkarpackiej, jest wyjątkowo smutne, pozbawione miłości nawet matczynej, która dziecku nigdy nie mogła darować jego nieprawego pochodzenia, szczególnie wobec ciągłego powiększania się własnej już ulegalizowanej rodziny. Kasia nie mogła pokochać dziecka swego grzechu. A tymczasem, a może właśnie dlatego dziecko nie było przeciętne i mimo wychowania, dążącego do zatarcia tej odrębności, wyrastało sprytnie, spostrzegawcze, obdarzone dowcipem i zdolnościami. Los Dagny rozstrzygnął się z chwilą śmierci opiekującej się nią babki, w momencie „darowania“ jej stryjowi do Ameryki.

W tym momencie zamknął się dla Dag pewen okres jej życia, za którym nawet tęsknić nie będzie, mimo, że w Ameryce czekały ją same rozczarowania i życie trudne ponad miarę. Początkowo ciężka praca u ciotki Ludwinki i szkoła powszechna, przerywana dwukrotnie ucieczkami

Zestawienia tego artykułu Osmańczyka pasjonują. Są kapitalne. Urywki z pamiętnika, pisanego w czasie powstania, stwierdzenia znajomości dzisiaj całej prądy, potępienie Mitu zwycięskiego rzykanctwa i owo „kalkuluję chłodno, bez sentymentu, bez poetyckiego czadu, abyśmy byli rzeczywiście ostatnim pokoleniem Polaków mądrych po szkodzię“ — sprawiają, że wbrew intencjom autora bunt rodzi się nie przeciw romantyczności, ale właśnie przeciw postawie, która „wymaga natychmiastowego odrzucenia morfiny poezji, rozwichrzającej umysły“.

Osmańczyk nie mówi nam, niestety, jakiego rodzaju jest i na czym polega owo „trudne myślenie“, które usiłuje propagować, jako zastępcze i następcze po poetyckich romantyzmach. Osmańczyk doskonale przecież wie, że byle trzeźwość, byle rozum wystarczy do stwierdzenia, że dla nierealnych mrzonek żal każdej kropli polskiej krwi. Zasięg tematyki Osmańczyka i sposób jej rozprawienia czynią z samego tematu rozlewnięcia krwi polskiej jakiegoś credo, obowiązujące w każdym wypadku i w każdej sytuacji. Tematu Osmańczyk nie ograniczył. Nie zakreślił mu ram. Nie powiedział po prostu, o jaką krew polską chodzi i o jakie sytuacje, w której przelewać jej nie wolno. Cóż z tego, że napiszemy teraz, iż zapewne Osmańczykowi chodziło o stosunki wewnętrzno-krajowe. Cóż z tego, że zdziwimy się z jego tezą, iż przelew krwi polskiej na użytek wewnętrzno-krajowego epigonstwa romantycznego jest zbrodnią. Ducha artykułu Osmańczyka to nie zmieni. W duchu tego artykułu czai się jakaś wielka przegrana, czai się niepoliśkie wzorowanie na czyjejs przemyślności, na czymś obrachowaniu tego rodzaju, które rodziło Hachę lub Quislinga.

I dlatego ten artykuł z cyklu „Sprawy Polaków“ nie jest artykułem, który by można przyjąć bez zastrzeżeń i podpisać. Odwrotnie. Potrzebny jest Polakom romantyzm i potrzebna jest polska krew nie tylko do tego, by płynęła w żyłach. Potrzebna jest po to, aby płynęła mogła świadomie i z dobrej a nieprzymuszonej woli wówczas, gdy wróg zagrozić może granicom naszym, gdy przyjdzie może jeszcze i nie raz dokumentować krwią swoje prawo do życia i do nieromantycznego, ale wymierzonego i wyliczonego obrachowywania ocalonych żyć, potrzebnych odbudowie i odrodzeniu.

wh

Nowe książki

z domu stryjostwa. Dziecko pozbawione jakiegokolwiek kierunku, kłamię kradnie, dążąc do ułatwienia i ubarwienia sobie życia. Ubóstwo życia Dagny stoi w rażącej sprzeczności z ogólnym poziomem i stopą życiową mieszkańców Chicago; Dag pracuje nie mniej niż w rodzinnej wiosce, tylko inaczej i w gorszej atmosferze. Autorka nie oszczędziła naszego wychodźstwa z końca XIX i początków XX w. Przerazająca płytkość i bełdeowość i materializm otoczenia Dag nie mogą wpłynąć na nią dodatnio. Jakkolwiek ludzie z jej otoczenia, to wyłącznie emigrujący dla zdobycia pieniędzy — po uzyskaniu ich nie starają się o podniesienie na wyższy szczebel kulturalny — tylko zadawalały się dobrobytem na poziomie pierwotnego człowieka.

Dopiero w czasie nieudanej ucieczki z domu Andrasiów Dag po raz pierwszy spotyka się z ludźmi naprawdę interesującymi się nią — i od tej chwili też zmienia się jej kierunek życiowy i ambicje. Zaczyna chodzić do szkoły średniej i próbuje pracować zarobkowo. Sąd sprawuje nadzór nad stryjostwem, by dziewczynie zapewnić lepsze warunki życiowe. I znów kontrast — szkoła średnia i... zmywanie garnków po weselach i zabawach, postugi płatne, sprzątanie, bo w ten sposób. Dag zarabia na siebie, podczas gdy jej koleżanki, chodzą w szynszylach! Ale Dag wie, czego chce. Patrzy krytycznie na młodzież ją otaczającą. Mówi do swego rówieśnika: „chcę wyjść za kogoś kto będzie inny... nie wiem, czy wyjdę kiedykolwiek za Polaka. Nasi chłopcy palą i piją od dziecka, mają piękne samochody i bogatych rodziców, ale zaledwie garstka z nich dochodzi do czegoś w ży-

ciu. Nikt nie chce się uczyć. Powiedz, czy twoi rodzice kupili ci kiedykolwiek książkę? Kupili ci auto, rower, football, wrotki lub hulajnogę. Nigdy nie kupili ci książki...“

Wreszcie Dag ucieka po raz trzeci i ostatni z domu stryja wobec chęci przymuszenia jej do małżeństwa z „ukochanym“ ciotki Ludwinki. Dag pragnie się dalej uczyć i całkowicie się uniezależnić. Pracuje więc jako służąca — „pomocnica matki“, jak to się w Ameryce nazywa. Jest służącą do wszystkiego, nauka w szkole zabiera jej czas od 8 do 4 — praca więc w domu musi być zrobiona kosztem snu i wypoczynku zakłóconego wrzaskami starszych dzieci i koniecznością piastowania niemowlęcia. A to wszystko tylko za 3 dol. tygodniowo!

Na koniec w życie Dag wkracza miłość po kilku nieudanych próbach, miłość prawdziwa, która niestety w iście amerykańskim tempie kończy się tragicznie (Jim ginie w katastrofie samochodowej w przeddzień małżeństwa), pozabawiając Dag wszelkiej radości i chęci do życia. Dag mimo sukcesów zawodowych cierpi nad miarę. Przyjazd do Polski nie zapelniał pustki, wśród swoich niczego nie znalazła i znaleźć nie mogła — i na koniec „bez marzeń o szczęściu i bez obietnic miłości związała swoje samotne, nikomu dotychczas niepotrzebne istnienie, z życiem drugiego człowieka“, którego jej data opuszczona „czyste“.

Książka napisana stylem prostym, barwnym — czyta się przyjemnie, choć kończy się ją pod wrażeniem wielkiej i niezastużonej krzywdy życiowej Dagny. Cechą jest tym bardziej ciekawa, że porusza wiele zagadnień, dotyczących stosunków amerykańskich i daje pełny obraz życia naszego wychodźstwa i warunków, w jakich pracuje młodzież w Ameryce. Książka wydana estetycznie i starannie.

Mik.

Autorów i wydawców, którzy pragną aby ich książki były omawiane w „Dziś i Jutro“, prosimy o nadesłanie do Redakcji po 2 egzemplarze recenzyjne.

Warszawa w fotografii

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego wyszła z druku i ukazała się na półkach księgarskich broszura p. t. „Warszawa“ 1939—1945.

Broszura zawiera czterdzieści trzy strony, w czym jest umieszczonych osiemdziesiąt trzy zdjęć fotograficznych. Zdjęcia te, widocznie skrupulatnie dobrane, miały na celu odtworzenie przeszłości i wykazanie teraźniejszości. Tekst bardzo ubogi, właściwie nie ma go prawie. Kilka słów wstępu o zniszczeniu i mimo wszystko żywotności Warszawy. Kilka słów o ruinie pamiątek naszych najdroższych, jak zamek królewski, pałace Brühla, biblioteki Krasieńskich i Zamoyskich. O ulicach najludniejszych, gdzie okupanci dokonywali obław na mieszkańców stolicy, a które dziś zięją trupią martwością. O zburzonych kościołach, o nieodżałowanej pamięci przecudnym, owianym czałem przeszłości Starym Mieście — i o Geccie. Oto wszystko. Zresztą, gdy się ogląda zdjęcia, dzieła bohaterskich wyczynów „narodu panów“ (Herrenvolk) — słowa chyba zbyt czyste. Nosimy je zresztą w naszych oczach zbyt boleśnie. Szkoda tylko, że zdjęcia nie są na wysokości zadania — takie, jakby zamazane. Jest to zapewne wina klisz, a nie papieru. Okładka barwna i efektowna, ornamenty, winiety i układ graficzny staranne i pomysłowe.

Z. K. N.

OBRAZEK NIEPOKALANEGO SERCA MARYI

Wykonany przez art. — malarza B. Rutkowskiego na papierze ilustrowanym — tylko setkami. Setka 200 zł plus porto. Przy zamówieniach od 5-ciu setek rabat 30 proc.

Zamawiać w SKŁADNICY KATOLICKICH WYDAWNICTW I ARTYSTYCZNYCH DEWOCJONALII

„CARITAS“

Częstochowa, Wieluńska Nr 1. L. 018654

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946 — wysyła poczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1.060 zł (cena hurtowa 10 zł), detaliczna 15 zł plus porto) ks. dr. Win. Heleński Gostynin, wojew. Warszawskie.

„WIERSE“

K. J. GALCZYŃSKIEGO

Nakład Oficyny Księgarskiej

Margines spraw zagranicznych

Przed konferencją pokojową

Za parę dni rozpoczyna się w Paryżu, nieopodal Wersalu, pierwsza Konferencja Pokojowa po drugiej wojnie światowej. Dość daleko odbiega ona od wzoru obrad tego rodzaju, ustalonego przez historię. Odmienne od swych wielkich poprzedniczek powołana została do uregulowania spraw niewątpliwie ważnych, ale w skali minionej wojny, wcale nie najważniejszych. Konferencja Pokojowa rozpatrzyć ma bowiem tylko i wyłącznie problemy związane z satelitami Niemiec — Włochami, Węgrami, Rumunią, Finlandią — nie decydując nic w sprawie samych Niemiec, które jeszcze do takiego rozstrzygnięcia nie dojrzały. Jednym słowem w samym centrum Europy jeszcze długi czas trwać będzie pewne prowizorium, będące z jednej strony przedmiotem targów i sporów Wielkiej Trójki, czy nawet — wraz z Francją — Czwórki; z drugiej strony źródłem stałej niepewności dla wszystkich tych sąsiadów Niemiec, którym ostateczne uregulowanie problemu Niemiec potrzebne jest do definitywnego uregulowania spraw własnych. Brak sprawy niemieckiej wśród porządków punktów obrad Konferencji Pokojowej jest poważnym mankamentem, ograniczającym jej znaczenie, mimo, iż równocześnie jest to dowodem wagi, jaką Wielka Czwórka przywiązuje do problemu niemieckiego, wolać go rozwiązać raczej później, niż zbyt pośpiesznie, to znaczy, z reguły, źle.

Konferencja Pokojowa doszła do skutku tylko dlatego, iż dziesięciomiesięczne rozmowy ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw nakonieć, po paru bezowocnych naradach, zakończone zostały kompromisem, który Byrnes nazwał „nie idealnym, ale zadawalającym“.

Dziesięć miesięcy sporów — to dużo i mało. Dużo — jeżeli chodzi o współżyjące pokolenia, którym tego rodzaju denerwujące rozgrywki międzynarodowe wcale nie pomagają do ich codziennego życia, nie pomagają odbudowie zniszczeń wojennych, nie sprzyjają stabilizacji stosunków, raz po raz wprawiając świat, lub przynajmniej znaczną jego część, w gorączkowy niepokój oczekiwania jakichś wydarzeń militarnych czy dyplomatycznych, mogących wpłynąć na zmianę status quo. Mało — jeżeli brąca pod uwagę skalę historii, która jeżeli wyroki czwórkowego aeropagu będą mogły trwać czas dłuższy i zapewnić dłuższy pokój sterylnym narodom — łatwo wybaczy prawie roczne rozmowy.

Ostatnie rozmowy w Paryżu toczyły się w atmosferze kompromisu, co zdecydowało o powodzeniu. Nie jest to oczywiście kompromis za wszelką cenę, gdyż w sprawach zasadniczych (Triest, kolonie włoskie), do ostatecznego rozstrzygnięcia nie Triestu na lat 10, w wypadku kolonii doszło. Uchwalono prowizoria w wypadku włoskich na rok.

Nie jest to najidealniejsze rozwiązanie tych spraw, ale fakt, iż jako najwyższego arbitra, po upływie lat prowizorium, zgodzono się uznać ONZ, jest krzepiący. Mamy nadzieję, iż do tego czasu ONZ, jako forma kolegiatnej decyzji, tak okrzepnie, iż będzie w stanie wydać wyrok naprawdę sprawiedliwy. Wydaje się nam przy tym, że Organizacja Narodów Zjednoczonych winna pamiętać, że już sama jej nazwa nakazuje jej dwukierunkowe działanie: z jednej strony zmierzać do wykształcania się możliwie pełnego narodów niepodległych i niezależnych; z drugiej — do łączenia tych narodów w jedną organizację nadrzędną, której ostatecznym celem jest sprawowanie rządów nad światem. Jeżeli chodzi o bardzo ciężki casus Triestu, sądzimy, iż ONZ winien skorzystać z nadarzającej się okazji i miasto to rzeczywiście i nazawsze umiędzynarodowić, nie w sensie jednak stworzenia „wolnego miasta“, na które wszyscy mają ochotę, ale poddania go dystrybucji Organizacji Narodów Zjednoczonych, coś jakby jej majątek nieruchomości. Znaczenie takiego obiektu, znaczenie bazy ONZ-etu w samym sercu burzliwej Europy — może być niezwykle do- niosłe, a dla sprawy utrzymania pokoju okazać się nader praktyczne i pożyteczne.

Ta przydługa dygresja na temat ONZ nie jest wcale tak mała a propos, w artykulu, którym poprzedzić chcemy Konferencję Pokojową. Wydaje się nam bo-

wiem, iż i Konferencja ta wtedy tylko spełni swą historyczną rolę, gdy stanie się jeszcze jednym narzędziem, służącym do ugruntowania i poszerzenia światowej władzy Narodów Zjednoczonych.

Kompromis, który stał się rezultatem tak długotrwałych rozmów mocarstw, wychł, dowodzi dwóch rzeczy. Pierwszej — iż żadne z trzech mocarstw wojny nie pragnie; każde z nich chce zrealizować maximum swoich postulatów drogą pokojową. Zdaje się, iż wszystkie trzy są zda-

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

ZSRR

ODBUDOWA I ROZWÓJ TRANSPORTU W ZWIĄZKU RADZIECKIM PODCZAS NOWEGO PLANU PIĘCIOLETNIEGO

Związek Radziecki planując olbrzymie zwiększenie produkcji w każdej dziedzinie przemysłu i rolnictwa, liczy się z tym, że osiągnięcia te nie byłyby możliwe bez odpowiedniego rozwoju transportu. Dlatego też plan pięcioletni przewiduje ogromne zwiększenie obrotu załadunku kolejowego, jak również transportu drogowego i wodnego.

Obrót ten w r. 1932 wynosił 215 miliardów tono-kilom.

w r. 1937 — 430 miliardów tono-kilom.

w r. 1940 — 483 miliardów tono-kilom.

Na rok 1950 projektuje się wzrost do 657,5 miliarda tono-kilom., czyli o 36% więcej aniżeli przed wojną.

W dziedzinie transportu kolejowego przewiduje się wzrost załadunku do 115 tys. wagonów na dobę, co stanowi 532 miliardów tono-kilom.

Dla usprawnienia transportu, szczególnie na Syberii, Uralu i w Republikach południowych, zostaną zbudowane nowe magistrale kolejowe i nastąpi znaczne zwiększenie ilości parowozów i wagonów, przy równoczesnych ulepszeniach technicznych, jak trakcja elektryczna i lokomotywy spalinowe.

W ciągu nowej pięcioletki tabor parowozowy wzrośnie o 6150 maszyn parowych, 555 elektrowozów i 865 lokomotyw spalinowych, ilość wagonów kolejowych wzrośnie o 472 tys. sztuk. Ilości te przewyższają produkcję taboru kolejowego z okresu II pięcioletki w r. 1937 o około 50%.

Równocześnie z kapitalnym remontem szeregu odcinków kolejowych, które ucierniały w czasie wojny, rozbudowuje się nowe linie kolejowe o długości 7230 km. (w tym 3550 km. na Syberii).

Jednotorowe koleje otrzymają drugi or na przestrzeni 12500 km. Zelektryfikowanych zostanie 5325 km. kolei. Dla zapewnienia niezbędnego materiału plan pięcioletni przewiduje dostawę 4,5 mil. sztuk szyn i 185 mil. podkładów.

Koszt tych projektowanych inwestycji wyniesie około 40 miliardów rubli.

W dziedzinie transportu wodnego obrót towarowy w transporcie rzeczonym wzrośnie o 38%, a w morskim o 120% w stosunku do przedwojennego. Trwają prace, zmierzające do utworzenia stałego szlaku morskiego z Archangielska do Władywostoku. Jak wiadomo, jest to najkrótsze połączenie pomiędzy portami Bałtyku i Morza Białego a Dalekim Wschodem. Trasa ta jest trzykrotnie krótsza od drogi przez kanał Sueski, a osmiokrotnie od drogi wzdłuż południowych brzegów Afryki.

ZAGŁĘBIA WĘGLOWE NA WSCHODZIE ZSRR PODWOJĄ WYDOBYCIE

Przemysł węglowy Związku Radzieckiego dostarczył państwu w r. 1940 166 milionów ton węgla, czyli prawie sześciokrotnie więcej aniżeli w r. 1913 przed pierwszą wojną światową.

Wzrost ten był możliwy dlatego, że obok rozwoju podstawowej bazy węglowej Zagłębia Donieckiego, utworzono nowe bazy węglowe na wschodzie — w Zagłębiu Kuźnieckim oraz Karagandzie.

W groźnej dla państwa chwili, gdy Niemcy opanowali czasowo południe państwa, kopalnie Wschodu wespół z Zagłębiem Podmoskiewskim objęły cały ciężar dostawy węgla i zaopatrywały front przemysłu i transportu.

W latach wojny wybudowano około 170 nowych kopalni. Górnicy Wschodu zdołali wyzyskać całkowitą zdolność produkcyjną czynnych kopalni, znacznie rozszerzyli zakres prac górniczych oraz zmechanizowali produkcję. Zastosowano najnowsze zdobycze techniczne w zakresie maszyn, które powiększyły dwu a nawet trzykrotnie wydajność pracy.

Obecnie przemysł węglowy obszarów wschodnich stoi w przededniu poważnego wzrostu. Zasoby węglowe tych terenów są bardzo znaczne. Tak np. Zagłębie Kuźnieckie jest jednym z najbogatszych na świecie a azawartość jego obliczono na około czterysta pięćdziesiąt miliardów ton węgla, najwyższego gatunku.

nia, iż wojna w dzisiejszym stanie techniki militarnej nie opłaca się nie tylko zwycięzcom, ale i zwyciężonym. Drugie — że jednak każde z mocarstw bronić będzie za wszelką cenę pokojową i polityczną cenę swojego punktu widzenia, swoich korzyści; dochodzić może przy tym do długotrwałych i skomplikowanych sporów, bezwolnymi obiektami których są państwa i narody nie wchodzące w skład Wielkiej Czwórki, z zaciętości tych sporów nie można jednak na szczęście wnioskować o możliwościach wojny.

Z kolei Konferencja Pokojowa też może stać się areną rozgrywek między mniejszymi państwami a wielkimi mocarstwami. Wśród tych pierwszych bo-

wiem coraz bardziej jnarastają pretensje o to, iż losy świata w tej chwili spoczywają wyłącznie w rękach organizmów, wprawdzie potężnych, lecz nie powszechnych. Nie sądzimy jednak, by możliwe nieporozumienia podczas najbliższej Konferencji Paryskiej, (która nie zanosi się na zbyt długo, gdyż już wczesną jesienią ministrowie Czwórki wyznaczili obrady, ONZ, a potem swoje w sprawie Niemiec) — były w stanie zakłócić jednomyślność Wielkiej Czwórki. A póki trwa ona, póki obowiązuje ostatni kompromis paryski — świat może pracować i spać w spokoju.

K. Kk.

W najbliższym czasie wydobycie węgla na terenach wschodnich zostanie doprowadzone do 107 milionów ton rocznie.

Geologowie zbadali 38 nowych terenów węglowych, które zostaną w najbliższym czasie uruchomione. Powstanie 126 nowych kopalni, wyposażonych w najnowsze maszyny, jak kombajny, mioty, transportery taśmowe itp.

Na budowę nowych kopalni, fabryk i budynków mieszkalnych wyasygnowano 9 miliardów rubli.

W Zagłębiu Kuźnieckim, Karagandzie, na Dalekim Wschodzie, powstaną nowe miasta i osiedla, niektóre o dziesiątkach tysięcy mieszkańców.

Przemysł węglowy ZSRR postawił sobie za zadanie doprowadzenie rocznego wydobycia węgla w okresie najbliższych 15 lat, do wysokości 500 tys. ton. W osiągnięcia tego celu wschodnie okręgi węglowe ZSRR odegrają wybitną rolę.

bb.

FRANCJA

Budżet francuski. Komisja budżetowa francuskiego Zgromadzenia Narodowego ogłosiła niedawno temu roczne sprawozdanie na temat sytuacji finansowej państwa. W związku z tym korespondent paryski „The Economist“ zestawia wyniki, osiągnięte przez obecnego ministra skarbu, p. Andre Philpa, w pierwszym roku urzędowania, z rezultatami gospodarki jego poprzednika, p. Pleven, w roku ubiegłym.

Gdy p. Philip obejmował kierownictwo resortu skarbu rok temu, położenie finansowe Francji wyglądało niewątpliwie groźnie. Deficyt był znaczny, co gorsza, wykazywał tendencje dalszego wzrostu. Nowy minister poddał dotychczasową gospodarkę budżetową rewizji w duchu zasad oszczędności i pracy, które następcą gen. de Gaulle, premier Goinin postawił na czele programu swego rządu.

Budżet zwyczajny na rok 1946 wykazuje największe redukcje w dziedzinie wydatków na obronę narodową, budżet nadzwyczajny zaś w dziedzinie subwencjonowania cen pewnych surowców podstawowych, w pierwszym rzędzie cen węgla. Poza tym min. Philip przeciwstawił się dążnościom innych resortów w kierunku podwyższania płac.

Poniższa tabela obrazuje najważniejsze różnice od strony „deficytowej“ między rokiem budżetowym 1945 i 1946 w ocenie komisji budżetowej:

	(w miliardach franków)	
	rok 1945	rok 1946
Deficyt w budżecie		
zwyczajnym	237	180
nadzwyczajnym	88	160
ogólny deficyt brutto	325	340
wpływy z t.zw. „traites“ (pozycja księgową, reprezentująca należności Skarbu Państwa od pewnych transakcyj administracji publicznej)	25	70
wpływy z t. zw. „impex“, t. zn. z opłat od transakcyj importowych i eksportowych	55	113
pożyczki krótkoterminowe	205	110
	285	283
ogólny deficyt netto	40	57

Interesujące są komentarze, jakimi angielski dziennikarz uzupełnia poszczególne pozycje raportu komisji budżetowej. Uwagę zwraca przede wszystkim wysokość deficytu w budżecie nadzwyczajnym na rok 1946 — 160 miliardów franków — mimo wspomnianego już obniżenia wydatków na subwencje oraz redukcji nakładów na kolejnictwo. Przyczyna tkwi w świadczeniach na odbudowę, które w poprzednim roku były stosunkowo nieznaczne, w tym natomiast są preliminowane na 114 miliardów.

Jeśli chodzi o pozycję „impex“, to reprezentuje ona wpływy głównie z tytułu opłat za artykuły importowane, które to opłaty importer francuski opłaca gotówką, podczas gdy rząd francuski, nabywający owe artykuły zagranicą, często korzysta z kredytów. W sprawozdaniu komisji wspomniana pozycja — 113 miliardów w porównaniu z 55 miliardami w 1945 roku — ma wymowę nader krzepiącą. Minister zarzuca jednak komisji, że jej optymizm w poszczególnych wypadkach nie jest usprawiedliwiony. Ze swej strony ocenia on wpływy z „impex“ na 100 miliardów, wpływy zaś

z pożyczek krótkoterminowych na 75 miliardów. Z jego obliczenia wynikało by zatem, że wpływy będą w 1946 roku o 38 miliardów mniejsze, niż raport komisji przewiduje, czyli że ogólny deficyt netto wzrośnie z 57 na 95 miliardów. Ponieważ nie pozostaje inny sposób pokrycia niedoboru, jak apel do Banku Francuskiego, więc nasuwa się samo przez się pytanie, jakie będzie nasilenie objawów inflacyjnych, nierozłącznie związanych z powiększeniem obiegu o 95 miliardów nowego pieniądza.

„Niewątpliwie przeżyjemy okres inflacji, ale inflacji zwolnionej i kontrolowanej“. Tak charakteryzuje obecną sytuację sam minister skarbu, dając do zrozumienia, że nastąpiła poprawa w porównaniu z rokiem ubiegłym, kiedy to na czele resortu stał p. Pleven. Tegoroczny budżet wykazuje zapewne mniej pozycji inflacyjnych po stronie wpływów niż zeszloroczny, w którym instytucja emisyjna zasilła skarb 140 miliardami. Minister Pleven mógł jednak wykorzystać szczęśliwy zbieg okoliczności, że za jego urzędowania odbyła się wymiana banknotów, na której właśnie skarb państwa zarobił owe 140 miliardów. Mimo to rząd zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa pokrycia niedoboru 95 miliardów w drodze emisji, stąd też jego bezustanne nawoływanie do powiększenia wydajności pracy i do ograniczenia spożycia.

Znamienna jest opinia korespondenta, że wbrew alarmistycznym ocenom, nie wydaje się, by ilość pieniądza w obiegu na razie zbyt odstępowała od norm, które w obecnych warunkach można by uznać za usprawiedliwione. Obieg wzrósł w przybliżeniu pięciokrotnie w porównaniu z rokiem 1939, ale tylko raz mniej więcej wzrosły przeciętne ceny. Jeśli twierdzi się, że w 1945 r. wzrost działalności gospodarczej uzasadnia emisję dodatkową, aczkolwiek tylko w granicach 40 miliardów franków, to zważywszy dalszy rozwój aktywności gospodarczej w porównaniu z rokiem ubiegłym, emisja 60 do 70 miliardów nie dawała by jeszcze powodu obaw. Przekroczenie tej granicy grozi jednak zachwianiem samych fundamentów równowagi gospodarczej.

Istotna słabość budżetu min. Philpa tkwi jednak, zdaniem korespondenta, gdzieindziej. Tkwi ona w tym samym objawie, który nie tylko w ubiegłym roku, ale już od dziesiątek lat utrudnia we Francji racjonalną gospodarkę finansową. Jest nim poprostu niechęć Francuzów do ofiar na rzecz skarbu państwa. Zarzut to aż nadto zrozumiały w ustach obywatela W. Brytanii, gdzie w ciągu wojny norma podatku dochodowego wynosiła 50%! Dla ilustracji przytaczamy zestawienie, podane w „The Economist“: Stosunek procentowy podatków do dochodu narodowego 25 35 Stosunek procentowy podatków do płac 5,5 9,5 Stosunek procentowy podatków do dochodów w przemyśle, handlu itp. 12,5 42,5

Obciążenie podatkowe we Francji jest zbliżone do obciążenia w Anglii jedynie w dziedzinie podatków pośrednich, różnica natomiast na korzyść podatnika, a na niekorzyść Skarbu Państwa najjaśniej występuje w zakresie opodatkowania zysków w przemyśle i handlu.

K.

CZECHOSŁOWACJA

Nowy plan gospodarczy.

W związku z ukonstytuowaniem się nowego rządu pod przewodnictwem Klementa Gottwalda, lidera partii komunistycznej, opinia publiczna, a w szczególności partia komunistyczna, domaga się od rządu nowego planu gospodarczego. Partia komunistyczna wydała proklamację, w której domaga się konstytucyjnego usankcjonowania nacjonalizacji przemysłów kluczowych banków i zakładów ubezpieczeniowych, z drugiej otoczenia opieką rozwoju prywatnego rzemiosła oraz małych i średnich prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych i rolniczych. Poza tym partia komunistyczna domaga się: dwuletniego planu odbudowy gospodarczej, reformy administracji publicznej, zakończenia kolonizacji okręgów przygranicznych, zwiększenia produkcji

KONKURS

na znaczek b. więźniów Majdanka

WSKAZÓWKI OGÓLNE

1) Projekt znaczka winien być pomysły jako znak metalowy o formie dowolnej, nadającej się do noszenia w kłacie ubrania.

2) Wymiary znaczka nie powinny przekraczać 3 cm. średnicy, w wypadku zakomponowania go w kole, oraz około 6 cm. kw. powierzchni w wypadku zakomponowania go w innej formie geometrycznej.

3) W projekcie muszą być uwzględnione następujące szczegóły: splecione druty kolczaste w formie korony cierniowej, otoku lub dominującego fragmentu kompozycyjnego znaku, z napisem: „1941 — 1944” Majdank”. Jest to symbol Obozu Śmierci na Majdanku i jako taki musi być w projektowaniu znaczka bezwzględnie zastosowany. Prócz tego musi być również wkomponowany napis: „Towarzystwo Opieki nad Majdankiem”.

4) Znak powinien być zaprojektowany z uwzględnieniem obecnych możliwości wykonania go w materiale i w produkcji masowej. Znaczek może być dwumetalowy.

5) Projekt musi być wykonany w ten sposób, aby można było zorientować się w walorach plastycznych znaczka, w materiale, z którego ma być wykonany, w fakturze i w kolorze. Pożądane byłoby załączenie do projektu opisu i podanie możliwości wykonania w materiale.

6) W projekcie należy uwzględnić dwa warianty znaczka: 1) zwykły — dla członków zwykłych, oraz 2) ozdobny — dla członków honorowych.

WARUNKI KONKURSU

1) Projekty muszą być nadesłane pocztą lub dostarczone osobiście najdalej do dnia 8 sierpnia b. r., w zalakowanych kopertach, na adres: Towarzystwo Opieki nad Majdankiem, Lublin, ul. Spokojna 4, pokój Nr 58, na ręce Sekretarza Komisji Konkursowej. O ile projekty wysłane pocztą, nie nadejdą do dnia 14 sierpnia b. r., nie będą rozpatrywane przez Sąd Konkursowy.

2) Na kopercie musi być umieszczone godło projektodawcy. Rysunek musi być również podpisany godłem. W kopertę zewnętrzną, zawierającą projekt i opis znaku, należy włożyć drugą, zaklejoną kopertę, zawierającą kartkę z godłem, nazwiskiem i dokładnym adresem autora.

3) Nagrody ustalone zostały w następującej wysokości:

- I nagroda zł. 15.000,
- II nagroda zł. 10.000,
- III nagroda zł. 5.000.

Towarzystwo Opieki nad Majdankiem zastrzega sobie prawo kupna prac nienagrodzonych po cenie zł. 2.500 za jeden projekt oraz prawo urzędzenia wystawy wszystkich prac (z ujawnieniem nazwisk autorów prac nagrodzonych i wyróżnionych) we wrześniu r. b. w ramach organizowanego obchodu „Tydzień Majdanka”.

Prace nagrodzone i wyróżnione przechodzą na własność Towarzystwa. Inne prace mogą być zabrane po zamknięciu wystawy w terminie do dnia 30 października r. b.

4) Skład Sądu Konkursowego:

- I. Przedstawiciel Wydziału Muzeów i Pomników Martyrologii Polskiej,
- II. Delegat Związku Zaw. Plastyków R. P.,
- III. Delegat Stowarzyszenia Architektów R. P.,
- IV. Konserwator Województwa Lubelskiego,
- V. Delegat Związku Byłych Więźniów Politycznych,
- VI. Prezes Towarzystwa Opieki nad Majdankiem,
- VII. Dyrektor Państwowego Muzeum na Majdanku,

5) Wynik konkursu ogłoszony zostanie do dnia 20 sierpnia b. r. Nagrody wypłacone zostaną natychmiast po ogłoszeniu wyniku.

6) Na ewentualne zapytanie w sprawie konkursu, zgłoszone do dnia 22 lipca b. r. na adres: Towarzystwo Opieki nad Majdankiem, Lublin, ul. Spokojna 4, pok. Nr 58, na ręce Sekretarza Komisji Konkursowej, udzielona zostanie odpowiedź zbiorowa, przesłana do Związku Plastyków i Stowarzyszenia Architektów poszczególnych obwodów.

SZEROKI HORYZONT

Jak się przedstawia ilościowy stosunek wojsk okupacyjnych do ludności krajów Osi, na których terenie przebywają? Na pytanie to stara się odpowiedzieć główna kwatery generała Mac Arthura. Pozostaje to zapewne w ścisłym związku z ustawicznymi skargami ze strony dowództwa wojsk amerykańskich w Japonii, na zbyt małą ilość wojsk, jaka stoi do jego dyspozycji na tak wielkich i gęsto zaludnionych terenach.

A oto wspomniane zestawienia, którego wiarygodność jest pod znakiem zapytania, a które podajemy za znanym tygodnikiem amerykańskim „Time”. Podaje ono, ilu mieszkańców danego kraju wypada na jednego żołnierza armii okupacyjnej.

Korea (strefa Stanów Zjednoczonych) 1 żołnierz na 340 mieszkańców.

Włochy — 1 żołnierz na 113 miesz.

Austria (strefa brytyjska) — 1 żołnierz na 83 miesz.

Austria (strefa Stanów Zjednoczonych) — 1 żołnierz na 79 miesz.

Niemcy (strefa brytyjska) — 1 żołnierz na 63 miesz.

Niemcy (strefa francuska) — 1 żołnierz na 58 miesz.

Niemcy (strefa Stanów Zjednoczonych) — 1 żołnierz na 54 miesz.

Korea (strefa radziecka) — 1 żołnierz na 45 miesz.

Niemcy (strefa radziecka) — 1 żołnierz na 28 miesz.

Austria (strefa francuska) — 1 żołnierz na 21 mieszkańców.

Brandenburg Krainą Mogił

*) Ludwik Stasiak: „Brandenburg, kraina mogił słowiańskich. Wykładem Krakowskiego Towarzystwa Wydawniczego. Kraków, 1946 r.

„Gdy bogaty mieszczanin milionowego miasta, rozkopując fundamenty swego domu, natrafi na czaszkę z amuletami i na urnę runiczną nie wie, że dom jego stoi na wielkim uroczysku, które nosiło imię: Berlin; nie wie, że tam chowano władków i wodzów słowiańskich.”

Obcy zapomnieli i swoi zapomnieli. Lecz w szumie trzcin na bagnach Branboru dosłyszysz echa słowiańskiej pieśni, szelest kosaćców w błotach Hawell opowie ci o narodzie, który umarł.

Na tym olbrzymim słowiańskim cmentarzystwie, w śpiewie słowika dzwoni rzeźna nuta smutku, wicher jesienny wyje głosem mordowanych ludzi. Łka wicher i płacze, po raz tysięczny sypie złote liście na słowiańskie mogiły. Letnim porankiem kwiecie na łąkach pokrywa się perłami leż wylepionego do szczętu narodu.

Nad brzegami i jeziorami Branboru, plątające się tumany mgieł, mają kształt zakutych w jarmo niewolników.

Widzisz jak się sosny na brzegu Łaby, na polach łączyńskich o zachodzie słońca czerwienią: Jakby je kto krwią oblał! One korzeniami swymi do dziś nie mogły wypić wszystkiej krwi setek tysięcy Słowian, które tam w obronie swej ziemi poległy. Dziś jeszcze krwią ich pień się barwia, choć tysiące lat mordu minęło.

I Łaba się krwawi, a morze przy ujściu Mży, Trawni, Swartawy i Renu huczy tak smutno, jak smutna była pieśń ludu, który tu niegdyś mieszkał.

Tymi słowy rozpoczyna się opowieść Ludwika Stasiaka o narodzie, który umarł. Autor sięgnął tematem do tych odległych czasów, kiedy to „legion łotrów”, opisany przez kronikarzy niemieckich Widukinda i Thietmara, zdobywał ogniem i mieczem, podstępem i zdradą „przestrzeń życiową” dla narodu grabieżców, kiedy to, w pierwszej fazie „Drang nach Osten” został skazany na zagładę dobry lud słowian nadłabskich, który przecież „zasłużył na to, aby żył. Wszak wróg pisze o nich, że chociaż żył w po-gaństwie, co do obyczajów i gościnności nie znalazłbyś narodu, któryby zacniejszym był i dobrotliwszym”.

Los ludów nadłabskich to historyczne memento dla wszystkich sąsiadów rozbójniczych Teutonów. A jednocześnie najwymowniejszy dowód tego że Niemcy, na przestrzeni całej swej historii, zawsze byli jedni i ci sami, w swych celach i metodach walki. Że nie hitleryzm spaczył duszę niemiecką, że nie ideologia, taki czy inny ustrój sprowadza naród niemiecki na drogi zbrodni, ale, że jest to poprostu naród napiętnowany zbrodnią. Że Hitler, Rosenberg, Goering et consortes, to tylko godni spadkobiercy „legionu” narodu rozbójniczego, narodu, który wydał Zakon Krzyżacki, narodu Fryderyków, Wilhelmów, Bismarcków i Haka-ty. To musimy sobie zwłaszcza uprzytomnić my — Polacy, którym Niemcy chcieliby zgotować los ludów nadłabskich. My, co toczymy z Niemcami przeszło tysięcletni bój „o być albo nie być”.

I dlatego dobrze się stało, że ukazała się nowa edycja, ongiś wydanej przez Gmachowskiego, a zapomnianej powieści Ludwika Stasiaka „Brandenburg — kraina mogił słowiańskich”. W książce tej autor, na tle bohaterów walk plemion zachodnio-słowiańskich z Niemcami, snuje opowieść tragiczną o losach książąt obotryckich Mieczysława i Mściwoja, którzy wbrew woli ludu połączyli się z nieprzyjacielem i służy mu, biorąc udział w wyprawie Cesarza do południowych Włoch. Po licznych przygodach, pełnych znoju i cierpień, wracają w ojczyznę progi. Tu, jeden z nich zostaje zabity z ręki wiarołomnej żony Niemki, drugi zaś zrozumiałszy swe błędy, staje na czele walk z najeźdźcą. Po licznych zwycięstwach ginie i on. Tragiczne losy książąt obotryckich ściśle się łączą z dziejami nieszczęsnego ludu polabskiego, z zagładą, jaką przyniosła mu rozszalała, przewrotna i krwiożercza bestia germańska.

„Mogiły z narodu pozostały i prochy... Głiniarne łzawice i kości... Exostare ex ossibus ejus ultor”.

Powieść Stasiaka nie wolna jest od wad i usterek, napisana jest jednak z tak głębokim uczuciem i tak zaciętwawia tematyką, że wady jej schodzą na plan dalszy. Czytując ją. Warto. I pamiętajcie, że II-miecz się nie zmienia. Że był, jest i zawsze będzie wrogiem pokoju, ucylwilizowanym rozbójnikiem i grabieżcą.

A. OI.

Książka o kolonizacji niemieckiej

*) Kaczmarek Z.: Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry. Wydawnictwo „Instytutu Zachodniego”. Poznań, 1945, 8-ka, str. 259, cena 150 zł.

Może nigdy tak nauka niemiecka nie stała na usługach doraźnym celom politycznym, jak w tej wojnie, która się skończyła bezprzykładną klęską Niemiec. Każdy z narodów okupowanych przeżywał nie tylko nędzę i upodlenie natury fizycznej dzięki specyficznemu nastawieniu „narodu panów”, ale także wielkie upodlenie moralne w różnych dziedzinach życia. Dla intelektualisty nie do zniesienia była między innymi, propaganda szerzona świadomie przez okupanta o geniuszu organizacyjnym i twórczym narodu niemieckiego na ziemiach polskich. W praktyce sprowadzało się to do tego, że dopatrywano się wszędzie przejawów twórczych niemieckiego ducha w dziedzinie kultury. Nie było bowiem nic wielkiego w szczytowych osiągnięciach naszego narodu i państwa, co nie było stworzone przez niemiecki geniusz na ziemiach polskich. Naturalnie wszystko to ubierano w dowody „naukowe” nieraz w tak naiwny sposób, że u bardzo nawet nieświadomego budziły te dowody „naukowe” najpierw odręzę, a potem wzruszenie ramionami i uśmiech politowania.

Mimo takiej postawy ze strony nas samych, nie trzeba zapominać, że propaganda zbierała swe żniwo mimo wszystko w sposób na razie nie widoczny. I tak np. trąbienie przez propagandę niemiecką sprawy kolonizacji t. zw. niemieckiej na ziemiach polskich wzbudzało pewien niepokój u przeciętnego Polaka. Wjadowo nam bowiem wszystkim było, że koloniści niemieccy byli w Polsce a kampania wrześniowa 1939 roku nacalnie przekonała jaką pomocą byli oni w czasie walk wrześniowych dla armii niemieckiej w zakresie dywersji na tyłach i szpiegostwa przeprowadzanego na wielką skalę. Z kolonizacją niemiecką bowiem propaganda okupacyjna wiązała w Polsce mit o budującej roli, jaką Niemcy mieli włożyć w urządzenie „Weichsellandu”, a podkreślanie stałe w prasie codziennej twórczej roli Niemców w tworzeniu pomników architektury, sztuki i kultury stwarzało nawet u najbardziej uodpornych Polaków pewien osad, którego nie należy bagatelizować. W godzinowej tej robocie pierwsze skrzypce odgrywał w dziele udwadniania tych „prawd” naukowych „Deutsche Ostarbeit Institut” w

Krakowie, którego naczelnym zadaniem było wypracowanie pseudonaukowych dowodów o germańskim charakterze i germańskich prądach do ziem leżących nad Wartą i Wisłą. To też, jak pisze autor w pracy omawianej „niemiecki punkt widzenia, szukający wszędzie dla zadowolenia swej psychy śladów krwi niemieckiej i niemieckiej pracy, pomieszał różnorodne pojęcia i opatrzył je fałszywymi nazwami. Zapomniano rozróżnić kolonizację wewnętrzną kraju, zjawisko gospodarcze, od kolonizacji niemieckiej, t. j. imigracji żywołu niemieckiego; pomieszano kolonizację niemiecką na t. zw. prawie niemieckim, która była częścią ogólną kolonizacji, prowadzonej siłami polskimi, tylko według wzorów niemieckich. Wzory zaś te zbyt pośpiesznie przepisano wyłącznie Niemcom, nie rozróżniając w nich dorobku zachodnio-europejskiego. Wydobyc z tego chaosu błędnych pojęć, te pojęcia oczyścić, uświadomić je następnie umysłowi każdego Polaka — jest właśnie celem niniejszej rozprawy...”.

„Nadszedł czas, pisze autor, byśmy spojrzeli na nią trzeźwo, odrzucając wszelkie sugestie niemieckie, rozsiłane nawet w poważnej literaturze naukowej jeszcze w XIX wieku. Dokładne zapoznanie się z przebiegiem kolonizacji nie tylko uwolni nas od obcych zapożyczeń i wyświekli niejasności, ale da nam broń do ręki, którą skutecznie zwalczymy w sobie wszelkie nasze zastarzałe wątpliwości. Przypatrzmy się zjawisku imigracji żywołu niemieckiego na terenie całej Polski i na przestrzeni całych dziejów. Być może, że umożliwi to nam wyciągnięcie pewnych wniosków, będących nie bez znaczenia dla polskości nawet z punktu widzenia dzisiejszego interesu narodowego...”.

Przypatrzmy się teraz jak omawia autor te zagadnienia. Rozpoczyna od czasów przedhistorycznych. Stwierdza on, że gdzieś od II okresu brązu możemy śledzić ciągłość rozwojową ludności, która była jedną z gałęzi ludów aryjskich, z której wyszli Słowianie i Baitowie. W V okresie brązu na kulturę łużycką, która jest wykładnikiem owej wspólnoty bałto-słowiańskiej, wywarli silny wpływ Germanie skandynawscy nad brzegami Bałtyku t. j. na Pomorzu dzięki ożywionym stosunkom handlowym i wymianie kulturalnej. Tu też pisze autor, wytworzyła się t. zw. kultura nordyjska.

A. Reiterowa.

PRENUMERUJ CIE
„Dziś i Jutro”

O pewnej satyrze

Zawsze przed kioskiem z pismami staję oszołomiony. Wybór gazet i czasopism ogromny. Przeczytać nawet dziesiątej części przez pełne dwadzieścia cztery godziny niesposób. Myślę, kto to kupuje i po jakiego diabła. Niektóre pisma, obserwuję to, żółkną, schną i ciągle są niesprzedane. Jak zwykle kupowałem ostatnio „Kuznię” i „Odrodzenie” i przez przekorę samemu sobie kupiłem pismo „Kocynder”, pod tytułem napis: Tygodnik humorystyczny, data — 7 lipca 1946 r. Nr 38, miejsce wydawnia — Katowice. Gazeciarsz spojrzal na mnie zdziwiony i szybko doręczył mi żądane pismo, jakby w obawie, abym się nie rozmyślił.

Myślę sobie może, w smutnej epoce „Szpilek” — znajduję choć jeden dobry dowcip — za pięć złotych, to będzie wcale niedrogo. „Kocynder” przeszedł moje oczekiwania, np. taki wiersz p. t. „Eksperyment z bombą atomową” niejakiego Józefa Nachta, aby nie być głosłowny pozwolę sobie przytoczyć fragmenty: „Mówiła do kozy koza: „Ach, toż to istna zgroza”. Bardzo martwiły się świnię, Na atolu Bikini. Denerwiają się szczury. (Szczur wie, że taka bomba cały pokład urwie).

Bardzo to śmieszne, prawda i tak zreszcie napisane, aż włosy stają dęba z podziwu. Czytam dalej twór utalentowanego p. Nachta:

„W modnej cukierni koza kozie Szepcze o bombie w wytwornej pozie. Pan hrabia chudy jak żerdź Hrabia długa jak tyka, Też swe trzy grosze wtyka. I bardzo cieszą się świnię.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Kont. P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmujący codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia” Widok 24 B 09300

Obdito w Drukarni „Czytelnik” Nr. 2, Marszałkowska 3-5.